

≡ I ROK ≡ ZESZYĆ TU ≡

# MŁODOŚĆ

Czasopismo akademickie ≡≡≡≡≡≡  
Założone w setną rocznicę urodzin ≡≡  
Adama Mickiewicza ≡≡≡≡≡≡

≡ MARZEC ≡ 1899 ≡

KRAKÓW=ŁWÓW

W SKŁAD REDAKCYI WCHODZĄ: .....  
STANISŁAW UNGER --- WŁODZIMIERZ  
ROGOSZ .....  
KOMITET REDAKCYJNY WE LWOWIE: .....  
LEOPÓLD STAFF, przewodn. ....

## TREŚĆ: =====

KWESTYONARYUSZ W  
SPRAWIE EKONOMI-  
CZNEGO POŁOŻENIA  
MŁODZIEŻY UNIWER-  
SYTECKIEJ W GALICYI STANISŁAW UNGER ---  
SURSUM CORDA (POEMAT  
PROZĄ) ..... ANTONI MÜLLER .....  
STANOWISKO MŁODZIE-  
ŻY AKADEMICKIEJ  
W SPOŁECZEŃSTWIE IGNACY DASZYŃSKI ---  
O PEWNYM STAŁYM KIE-  
RUNKU ZMIAN JĘZY-  
KOWYCH W ZWIĄZKU  
Z ANTROPOLOGIĄ -- BAUDOUIN DE COURTE-  
NAY .....  
NIEWOLNICY KRWI (OPO-  
WIEŚĆ SCENICZNA  
W 3 AKTACH) ---- ADAM SIEDLECKI .....  
MŁODZIEŻ KONSERWA-  
TYWNA O SOBIE --- WŁODZIMIERZ ROGOSZ  
DYNAMIKA SIŁ SPOŁECZ-  
NYCH ..... BOLESŁAW LIMANOWSKI  
Z ŻYCIA AKADEMICKIEGO  
ODPOWIEDZI OD REDAKCYI .....  
ILUSTRACYE: .....  
SURSUM CORDA ..... WOJCIECH WEISS .....  
ADAM MICKIEWICZ ---- JAN PISZCZ .....  
KAIN (RZEŻBA) ..... KS. DUNIKOWSKI .....  
KOŃCÓWKI ..... | STANISŁAW KAMOCKI -  
| TADEUSZ NOSKOWSKI -

===== STRON 34. =====

## MŁODOSĆ =====

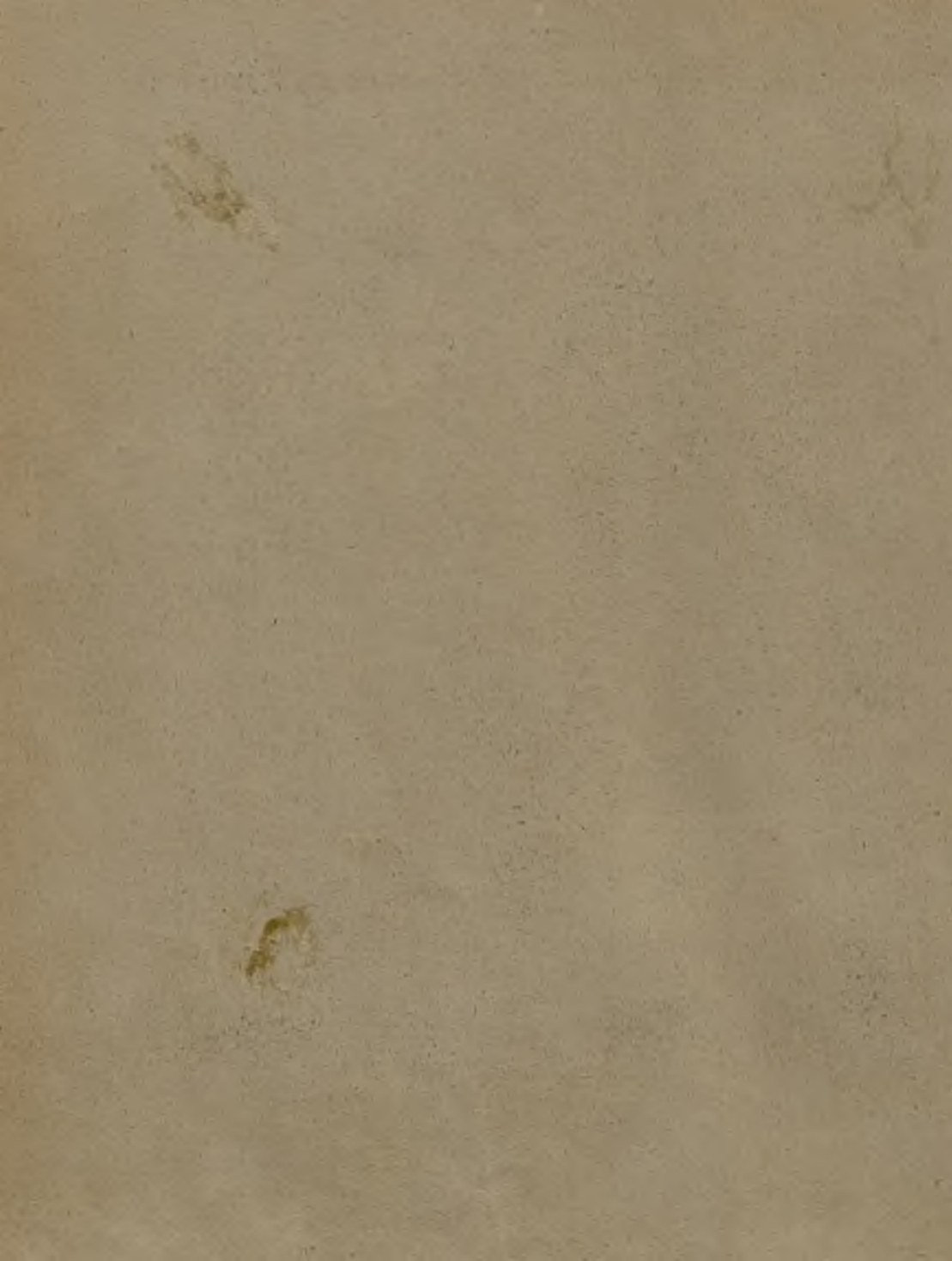
PRENUMERATA kwartalnie: w Krakowie i na prowincyi  
85 ct., za granicą 1 mk. 50 pf., 2 fr., 80 kop. ....

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Floryańska  
nr. 34 — FILIA: Lwów, Łyczakowska 21 .....

2090

WALTER COPPER





KWESTYONARYUSZ  
W SPRAWIE POŁOŻENIA EKONOMICZNEGO MŁODZIEŻY  
UNIWERSYTECKIEJ W GALICYI.\*

1. Wydział? Rok studyów? Miasto uniwersyteckie?
2. Wiek? Wyznanie?
3. Miejsce stałego zamieszkania ojca i stan jego?
4. Ile lat kolega był w gimnazjum?
5. Czy będąc w gimnazjum utrzymywał się sam, czy miał pomoc z domu?
6. Jak wpłynęła na stan zdrowia nauka w gimnazjum?
7. Jakie braki pod względem naukowym uczuł po ukończeniu gimnazjum?
8. Co wpłynęło na wybór fakultetu?
9. Czy przebywa podczas roku szkolnego w mieście uniwersyteckiem czy na prowincyi?
10. Ilu kolegów wraz z nim stale w mieście prowincjonalnem (wsi) przebywa?

---

\* Spodziewamy się, że przedsięwzięcie redakcyi »Młodości«, które ma na celu zbadanie położenia ekonomicznego młodzieży uniwersyteckiej w Galicyi, spotka się ze zrozumieniem wśród ogółu akademików. Pragniemy wyświetlić przyczyny składające się na upadek fizyczny i duchowy naszej młodzieży. Źródło złego leży bezwątpienia w stosunkach ekonomicznych i pytania kwestyjonaryusza dążą dlatego do jaknajdokładniejszego objęcia materyjalnej strony bytu młodzieży; odpowiedzi na nie, wraz z odpowiedziami ogólniejszej natury, złożą się na dokładny obraz warunków życia i rozwoju dzisiejszej młodzieży akademickiej.

Skutki bezpośrednie ankiet tego rodzaju są zwykle małe, i my nie spodziewamy się nagłego polepszenia warunków bytu; ale prócz naukowego materiału wielkiej wartości, przyniesie nam ona niezbite, statystyczne dane istnienia pewnych niezdrowych stosunków w społeczeństwie, poruszy umysły tych sfer — których obowiązkiem zajmować się młodzieżą — silniej i intensywniej, niż to uczyniły artykuły gazeciarskie stroniczne i pełne frazesów, i zmusi je do zastanowienia się i do próby poprawy złego, a w nas samych wzbudzi solidarność zrodzoną z wspólności interesów i dążenie do samopomocy. Wierzymy, że młodzież nasza pozna się na ważności podjętej przez nas pracy i skrupulatnem, zgodnem z prawdą wypełnieniem formularzy przyczyni się do udania ankiety.

Z końcem marca rozpoczniemy wydawanie kwestyjonaryuszy, których rozszerzaniem we Lwowie i w Krakowie zajmą się redakcyje »Młodości«. Kolegów gotowych w miastach prowincjonalnych przeprowadzić ankietę, prosimy o wejście w porozumienie z redakcją.

Termin nadsyłania blankietów do redakcyi — 1 czerwca 1899.

11. Czy uczęszcza na wykłady regularnie, nieregularnie, czy wcale nie?
12. Jeżeli nieregularnie lub wcale nie, dlaczego?
13. Przez ile godzin dziennie przeciętnie oddaje się studiom uniwersyteckim? ile minionego roku szkolnego?
14. Czy oddaje się po za studiami uniwersyteckimi pracom naukowym i jakim?
15. Czy bierze udział w życiu społecznym i w jaki sposób?
16. Jak wielkie ma dochody miesięcznie?
17. Z jakich źródeł te dochody płyną?
18. Jeżeli z własnej pracy: czy z lekcji, czy z pisarki, czy z innego zajęcia?
19. Ile godzin dziennie pracuje dla zarobku?
20. Jaką pobiera płacę?
21. Jaki jego stosunek do pracodawcy?
22. Czy i jak sposób zarobkowania wpływa na zdrowie i studia?
23. Ogólne uwagi dotyczące dochodów i sposobu zarobkowania.
24. Ile wydaje miesięcznie na utrzymanie?
  - a) na mieszkanie;
  - b) na jedzenie;
  - c) ubiory, bielizna etc.;
  - d) rozrywki;
  - e) inne wydatki.
25. Czy mieszka sam, czy z kim innym? Wiele osób zajmuje pokój?
26. Jakie są warunki higieniczne mieszkania? (wielkość, czystość, oświetlenie).
27. Ile razy dziennie jada?
28. Z czego składa się śniadanie?
29. Z ilu potraw i jakich składa się obiad?
30. Gdzie się stołuje? (prywatnie, w kuchni akademickiej, w restauracji).
31. Co jada na kolację?
32. Czy nie jest stale słabym na piersi, serce i żołądek, gardło?
33. Czy w rodzinie nie ma dziedzicznych chorób? (suchoty, szkrofuły, wady serca).
34. W którym roku życia rozpoczął obcować płciowo?
35. Jak często utrzymuje stosunki płciowe?
36. Czy ma lub miał choroby weneryczne?
37. Ogólne uwagi co do życia akademickiego pod względem ekonomicznym.
38. Ogólne uwagi co do życia akademickiego pod względem higienicznym.



X. DUNIKOWSKI:

»KAIN«

ANTONI MULLER:

SURSUM CORDA.

Ostapowi Ortwinowi.

Na moją odkrytą głowę padają ważkie, obrzękłe wilgocią, ciepłe krople dżdżu wiosennego. Uderzają o czaszkę monotonnie, powoli i dźwięczą głucho, jak łyzy, kiedy się toczą srebrną nitką na metalowe wieko trumny...

...Ciepłe krople dżdżu wiosennego padają cicho na mój mózg, nad którym zawisł wielki dzwon melancholii i żłobią w jego grząskiem podłożu wąskie, kręte koryta i poszarpane ostro łożyska. Mętna woda bije o brzegi siłą nawalnicy, rozpryska się i rozkrapla w tysiące puszystych pióropuszków, tryska w górę, uderza o strop i z nową siłą pada senna znużeniem w kręte podziemne chodniki. Wije się cicho bluzgocząc szklaną falą, prycha pianą na brzegi, podnosi się, wzdyma — już brzegów dosięgła sinym odmętym i z hukiem powodzi rozlewa się szeroko, tworząc stojące upiorne wodne uroczyska...

Wyspa umarłych! Wyplukane kipiącą falą bieleją nad brzegami długie szeregi odartych z ciała kości umarłej karawany, która niegdyś z wesołym śpiewem na ustach i z zapalem w oczach broczyła przez grząskie sino-krwawe wód rozlewy, póki nie zmarzła w zimie i ciemności. Pozostał jeno jej przewodnik, cichy i milczący, jak ów kraj histerycznych widzeń i upiórów i sztywnymi palcami wpija się w obiecaną ziemię, bezzębne wargi przytuła do czerwonych żył strumieni, tarza się w gorączkowych konwulsjach po fosforycznie

świecących kościach umarłych towarzyszy, a czerwona krew zmieszana z wodą ocieka długimi soplami z jego warg. W duszy mu pieśń szaloną zawodzi rozpacz i beznadziejność — i wielki, bezbrzeżny głód słońca: — próżno wyciąga zakrzepłe od obrazów przerażających widm sennych, próżno wyciąga błagalnie chude, nagie ręce w mroczną bezgwiezdną dal — słońce zgasło już w tej krainie, w której wszelkie życie mrze i sztywnieje, gdzie ciągle mrok otula w swe ponure skrzydła myśli i pragnienia...

Skamieniałe szczątki moich myśli leżą nagie i szpetne swem bezżyciem na powierzchni belkocących złowieszczo fal, póki nie spoczną na dnie upiornych uroczysk. Wnet rozpostrze nad ich grobowiskiem mętny lód swą opońgę i leżeć będą nieopgrzebane, nie oplakane na wieki...

---

Nie chcę! nie chcę! Puśćcie mnie!

Gdzie mnie wiedziecie, wy fałszywi prorocy jutrznianego jutra? Czemu krępujecie mi ręce, że aż krew z nich się sączy cieniutką purpurową szarfą — po co mi gryziecie duszę rozwiewnemi widziadłami? Ja znam was! Ja znam te chwile rozkosznych rojeń, po których myśl z połamanemi skrzydły slania się w beznadziejną bezdeń. Nie chcę was! Puśćcie!

Dajecie memu wzrokowi szybkość i przenikliwość grotu, który lata całe leci rozpętaną siłą rozmachu w dal i nigdzie nie odetchnie, nigdzie nie spocznie, nie ujrzy bladej, migotliwej gwiazdy, zawieszzonej w wszechświecie, na której łonie nowe siły mógłby zaczerpnąć — wiecznie tuła się i błąka w labiryncie mroków — bez końca...

Przypinacie mi ikarowe skrzydła i każecie lecieć w górę, w słońce i mówicie: jeszcze jeno miliard mil... A kiedy po całych latach tułaczki pytam was, kędy cel mego lotu, powtarzacie ciągle to samo: jeszcze jeno miliard mil!... I tak wiecznie...

Pragnienia moje układacie na prąd wichrów, abym się w mojej bezsilności rozbił o urwiste szczyty skał i utonął w nietopniejących nigdy lawinach górskich.

Mysłom moim dajecie lot orkanu, co morza rozburza do głębi i wygrzebuje z odmetów zapadłe miasta i byty, i ciskacie w uszy beznadziejne tony podmorskich dzwonów, aby mi duszę zeżreć rdzą przekleństwa...

Ja się was boję! puśćcie mnie!

Stoję na wniebosiężnej błękitnej wieży mojego wieku i patrzę w dół. Przez długie, pyłem i rozgwarem przesiąkłe brukowane ulice wałą się na oślep przed siebie rozhukane tłumy ludzkich pokoleń. Parte z tyłu padają na twarz, w rozpacznej walce o życie chwytają kurczowo za nogi następujące, by choć o chwilę przedłużyć męki istnienia. Ale już nowe wały tłoczą się po nich, tłoczą po krwi, która bluzga w ich spocone, cuchnące twarze i zataczają się przez kłęby bezkształtnych głów i tułowiów dalej, dalej wciąż przed siebie.



Widzę wielkie, świetlane myśli tratowane stopami tłumu, patrzę na tłum deptany przez siłę i przemoc — patrzę na siłę, która na tryumfalnym rydwanie, ugniatającym pochylone barki wiecznych swych niewolników, święci krwawe zwycięstwo...

Ja modłę się do bezsilności! do niemocy, do niebytu się modłę! oczy moje zwracam w śniedz przeszłości i w błękitny rozblask bezsennych marzeń. Do niemocy się modłę — czegóż chcecie odemnie...

Jestem bezdomnym wygnańcem, nie żądam już niczego, niczego już nie pragnę, tylko snu i spoczynku. Brak mi nawet sił, bym wyrzekł to słowo: »pragnę« — i boję się chwili, kiedyby moje pragnienie stało się cudem i ciałem. Miejcie litość nad bezdomnym wygnańcem...

Spojrzyjcie w moją duszę: pęk robactwa i zapach trupi. Czegóż żądacie jeszcze od niej.

Nad głową mi huczą i zawodzą wiatry swój niezrozumiały potężny hymn wiecznego istnienia. Chaos walki i hejnały zwycięstwa... Nagie, bezkształtne cielska przewalają się pod gwiazdami, toczą śmiertelne zapasy, buchają w niebo parą i odmętem — kłębią się, kotłują, chychocą i lkają... Zaslona nieba przedziera się przez pół i zionie w ziemię ognisty deszcz, który wypala swym duszącym żarem każdy ślad, wyciśnięty moją stopą na ziemi... Ludzie kryją się po norach i ostępach leśnych, stęzałe przerażeniem źrenice wnoszą w niebieskie roztopy i żują blademi wargami niezrozumiałe słowa modlitwy do nieznanego Boga. W głowie mi huczy powódź ich strachu — rozpętany szał ekstazy drze i strzępi mą duszę i jakieś niepokonane pragnienie roztopienia się w tym chaosie pękających światów dnieje w myślach.

Jeszcze chwila: już wpływam w sam wir orkanu i składam na kipiących, zawrotnych wirach lodowate skronie...

Umrzeć! umrzeć w taką noc szaloną! Śmierci pragnę, nie walki — słyszycie?...

W dzieciennych moich latach, kiedy mnie w ciche, słodkie wieczory uczyła matka pacierza, dodawałem zawsze serdeczną prośbę do wielkiego Boga, by mi pozwolił umrzeć na wolnej ojczystej ziemi. Czyż wy nie pojmujecie tego, jaki bezbrzeżny żal dławi serce sieroty, kiedy jego rówieśnik wypowie to kochane, święte słowo, na którego dźwięk wstają w duszy wschody słoneczne: »ojciec«... Z narodu pogrobowców jestem — i dlatego wiecznie smęcić się będzie moja dusza, póki nie zamilknie na wieki.

Puście mnie! Niechaj złożę zimne skronie na rozszałym orkanie chmur i usnę bezboleśnie na wolnym ich całunie. Będzie się wtedy przez wieczność śniło mojej duszy, że wielki mój Bóg przyjął ofiarę pierwszej komunii osierociałego dziecka i siłą swej wszechpotęgi wyrzekł twórcze: »Stań się«...

A może wtedy ze snu mnie obudzą na nowe życie piorunne słowa:  
»Stać się wolna ludzkości!«

Puście mnie — pozwólcie mi umrzeć wolnym...

...Huragan się uciszył. Chmury skąpane w różowości zachodu, uleciały w świat, jak żagwie z płonącego nocą miasta i na niebie zakwitły wilgotne, tajemnicze źrenice błękitnych gwiazd. A ja stoję na odludnym cyplu skały i modłę się do Niemocy...

---

Rozhukana lawina wali się przez roztoki skalne ku szczytom. Nieprzeliczona lawina głów ludzkich, która w sinym, mglistym półmroku stapia się w jedno bezbrzeżne, tajemniczo szumiące morze. Zbliża się ku mnie powoli, majestatycznie, ale bez ustanku — rozlewa i rozgałęzia swe tysiączne odnogi jak prąd powodzi po wszystkich żlebach górskich, rozprzestrzenia się dookoła i zwartym pierścieniem, który coraz bardziej ściska się i pęcznieje prze w górę. Słyszę jakieś zmieszane, niezrozumiałe głosy: chór potężniejszy i splywa w jeden rozpaczny, powszechny śpiew tysięcy, w jedną rozpaczną modlitwę o nadzieję.

Jakiś straszny lęk i przerażenie dławi mi gardło — próżno szukam choćby najwęższego przesmyku, przez który zdołałbym ująć strasznej nawale — daremnie mętne strachem źrenice ciskam w mroczną przestrzeń: samotny i opuszczony stoję na pustym cyplu skalnym i nie mam nawet o co płonącej głowy oprzeć, by wytrzymać zalew. Czuję, że mnie wkrótce pochwyci i porwie swym szalonym rozmachem i będę musiał razem z nimi toczyć się wprzód, zwilżać spragnione usta własną krwią, padać ze znużenia i znów powstawać i biedz bez końca pod parciem mrowia. „Będę musiał z nimi płakać i modlić się i wyć o nadzieję — i z bóstwa stanę się pokornym sługą, z osi, około której cały glob moich myśli i pragnień i cały wszechświat wirował, stanę się marnym, bezsilnym atomem, prochem — pyłkiem kwiatów, który wichry podają sobie z dłoni do dłoni, póki nie rzucą go gdzieś w samotnię ku wybijaniu lub zmarnieniu. Ja — ja! dotychczas potężny mocarz w swej niemocy, mam się stać znikomą cząstką, marnym potencjałem siły, której rozlewności i celu nie mogę pojąć?...

Oto już przy mnie — już mnie pochłania w nieskończoną masę swego polipowego cielska — już zagłusza mą myśl rozpętanym jękiem i wzdychaniem i muszę iść za nią, czolgać się, tarzać, jęczeć i zawodzić — bez kresu...

Próżno wyciągam dłonie ku mojej rozkosznej samotni, próżno błagam zmiłowania: nikt nie słyszy mego rozpaczliwego głosu w ogólnem rozplakaniu i jęku, i toczą się naprzód i naprzód, a moja dusza krwawi, jak serce wyrwane żywcem z piersi.

Moje gniazdo naskalne ginie w mroku i oddaleniu.

Na obszernej bezsłonecznej pustej przestrzeni stoją omszałe, z ciosów skalnym mozołem wieków budowane, całopalne ołtarze. Na każdym z nich potrzaskana lutnia leży i uschły mirtowy wieniec. A dalej, jak okiem sięgnąć, bezkresne cmentarzysko mogił rozrzuconych kopytami końskimi, stratowanych stopami tłumów, które tędy od lat dziesiątek przechodziły i tylko tu i ówdzie szarzeją szczątki niedojedzonej stawy lub świecą jaskrawo gwiazdy porzuczonego złota. Powietrze tak przesiąknięte mgłą i zaduchem, że w niem rozpaczne wycie tłumu milknie i zamiera. I stają wszyscy w bezradnym osłupieniu, patrząc rozszerzonymi źrenicami w tę pustkę i martwość, i boją się krokiem stąpić dalej w rozciągające się przed nimi królestwo śmierci i milczenia.

Głucha, blada cichość zalega przestrzeń, że słyhać taniec mgieł, przevalających się przez martwą ziemię i słabe bicie serc i wibrację krwi.

Nagle podnosi się z mgieł rozpląsana, wszechpotężna pieśń. Każdy jej ton ognistą rakieta uderza w górę, odbija się tysięcznym zygzakiem o sklepienie mgieł, ryje znów ziemię i znów się wznosi, pryska snopami oslepiających skier, wiruje szybciej i szybciej, aż do opętania i zatacza ogromne świetlne kręgi, porywając za sobą w szalony wir serca i myśli. Dwa słupy rozgranego powietrza uderzają się wzajemnie wichrowemi piersiami — mącą się, kotłują, żrą ziemię, piaskiem w oczy sypią przerażonym tłumom — wyją orkanem huraganu. Jeszcze chwila a orkan w zawrotnych wykotach porywa się w niebo, olśniewając błyskawicą przedziera powietrze i aż w głąb ziemi bije grom stugębnem echem, które dzwoni w przestrzeni, jak huk zderzających się planet. Tłum słania się w przerażeniu i trwodze i pada na twarz przed majestatem Pieśni.

Głos leje się rozhukaną falą w bezmiary. Dźwięczy cicho, jak ostatnie akordy milknącej pieśni, wzmaga się, potężnieje, rośnie — huczy upomnieniem i nawoływaniem — przelewa się modrą, szepczącą falą przez serca i potrząsa metalowym orężem groźby. Dusza tłumu mdleje od niepojętej treści, która trąca wciąż i bez ustanku w tę samą strunę, strunę zerwaną od dawna, wydającą świszczący, chrapliwy oddźwięk. I nagle podnosi się ogromny, przemijający do głębi krzyk:

»Nie pojmujemy tej pieśni«..

A dźwięk wciąż szarpie i targa tę samą zerwaną strunę duszy:

»Drogowskazami jesteście na rozdrożu wieków. Nie do was przyszłość należy, ale do dzieci waszych i do dzieci waszych dzieci. Podnieście czoła i wejdźcie do świątyni waszych serc. Gruz uprzątńijcie z ich wnętrza i uświęćcie pohańbione ołtarze. Stańcie u progów domów modlitwy, proste szaty kapłanów przywdziejcie, a modlitwa wasza niech będzie jak orkan silną, jak morze rozlewną, jako szept serc skruszonych prostaczą. I niech w niej mieżka proroctwo przyszłości. A głos wasz stanie się ciałem.

»Drogowskazami jesteście. Struny harf waszych zerwane próżne są mocy,

by oddzwieczyły na hejnał przedświt. Ale bijcie się w piersi i patrzajcie, aby się w waszym upadku i rozelkaniu beznadziejnym nie poszarpały serdeczne struny tych maluczkich.

»Rozdźwięczne harfy, które myśl wieków powierzyła waszym dłoniom, nastrajajcie na męski, nadzieionośny ton, aby młodszy wasi bracia nie otrzymali w spuściznie połamanej lutni, której dźwięk jeno narzekaniem a rozpaczą.

»Rozpacz waszych ojców i zniechęcenie rdzą powyżerało wasze serca. Przetopcie je w ogniu słonecznych pożądań, aby trąd nie wssał się w krew waszych bliźnich. Zapomnijcie o marnych liściach dębu, które rok rocznie padają z wichrem jesiennym ku pognojowi ziemi, a pamiętajcie o sokach żywnych, przebiegających jego rdzeń.

»Strórcie — strórcie serca wasze, których harmonię macie przekazać tym maluczkim.

»A pomnijcie, że jeno drogowskazami jesteście na rozdrożu wieków«...

Pieśń milknie... jakiś półmroczne dniennie wsiąka w powietrze. I słyhać tylko, jak wiatr idący od północy sypie pełnymi garściami niewidzialne nasienia po rozkopanych grobach i czuć szeroki, surowy i wilgotny zapach ziemi, kiedy z wiosną taje i hołubi w swem sercu zaczątki przyszłego życia.

Tłum leży krzyżem na ziemi i wielki płacz zalega dniejący obszar. Wśród głuchego nieba półmroków i łkania zapalają się powoli, jak ślepia bławatów zakwitających słonecznym rankiem wśród zboża, migotliwe oczy najmłodszych z żyjących — jak wilgotne źrenice błękitnych gwiazd... błękitnych gwiazd...

A ja stoję na odludnym cyplu skały i modłę się do tych wilgotnych, tajemniczych, błękitnych gwiazd jutrznianego jutra...

Lwów.

Antoni Müller.



STANOWISKO MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ  
W SPOŁECZEŃSTWIE

Sam tytuł powyższy już spory wywołać może. Czy jakaś kategoria wieku ludzkiego, ograniczona w dodatku do jakiejś małej grupy, mogącej się poszczycić świadectwem dojrzałości uzyskanem w szkołach średnich, czy ta, tak bardzo uwarunkowana kategoria, może wogóle zająć jakie wyraźne stanowisko wśród społeczeństwa?

Czy ci kandydaci na teologów, lekarzy, prawników i naukowców lub inżynierów mają nas bardziej interesować, dopóki egzaminów nie pozdawali jeszcze? Dlaczego nie pisze się artykułów o młodych praktykantach na cieśli lub murarzy? Przecież jest ich dziesięć razy więcej.

A jednak sprawy »akademików« obchodzą społeczeństwo w znacznie większym stopniu, niż sprawy innej młodzieży. Dlaczego? — Spróbujmy zanalizować.

Im ciemniejszy kraj, tem bardziej tytuł »akademika« otoczony aureolą i chlubą. W najbardziej nowoczesnem społeczeństwie, w Stanach Zjednoczonych Ameryki półn., niema prawie żadnej różnicy między »akademicko« wykształconym człowiekiem, a innym śmiertelnikiem. Europejski dyplom uniwersytecki traktują tu raczej z pewnym sceptycyzmem wyższości. Inaczej w Rosyi, gdzie akademikom przyznano mundury, szpadę i wiele specjalnych przywilejów. W jednym zaś i tem samem społeczeństwie byli »akademicy« niegdyś przed wiekami wielce uprzywilejowaną grupą, podczas gdy dzisiaj każdy rok z dawnych przywilejów ich odziera, znaczenie zmniejsza, honorów skąpi.

Kilka czynników gra tu rolę wybitną. Najpierw ogólny upadek społeczeństwa sta nowego. Wiedza przestała należeć do cechu. Berła uniwersyteckie, togi rektorskie, łacińskie formułki pozostały taką samą pustą formą, jak insygnia cechu »sławetnych« krawców lub szewców. Po za uniwersytetami i wbrew uniwersytetom, zdala od urzędowej nauki pasował się duch ludzki z tajemnikami przyrody; birety i togi umiały częściej kłać i przeczyć, niż badać i drogi torować. Filozofia szkolna zasklepiła się w sobie i zaschła na mumię, a błyskawice prawdy i geniuszu rodziły się coraz częściej na poddaszach, wśród huku maszyn, w laboratoryach i warsztatach. Co tu znaczył dyplom, przywilej, toga, biret?... *Spiritus flat, ubi vult.*

Ogromny wzrost oświaty wśród mas ludowych obniżył znaczenie monopolu naukowego uniwersytetów; demokracja społeczeństw odjęła wszystkie niepotrzebne już formy i odznaki.

A przecież pozostało jeszcze wyjątkowo zaszczytne stanowisko »akademika«. Dzisiaj składa się ono z dwu składowych czynników; najpierw z różnicy między pracą umysłową a fizyczną, a następnie z praktycznego zużytkowania uniwersytetów przez państwo.

Wybitna różnica między fizyczną a umysłową pracą jest znamieniem drugorzędnym w dzisiejszym społeczeństwie. Pierwszorzędnym jest różnica w posiadaniu majątku.

Bogaty balwan może swego lekarza domowego, adwokata lub dyrektora swej fabryki traktować z góry i dawać im uczuć wszystkie ciernie majątkowej zależności. Ale naodwrot: akademicko wykształcony »głodomór« patrzy na szewca lub ślusarza z miną istoty nieskończenie wyższej. Skąd to pochodzi? Pytanie to jest tem ciekawsze, że zdaje się napozór przeczyć ustrojowi kapitalistycznemu. Tymczasem, jest ono jego wynikiem. Ów »głodomór« z akademickim wykształceniem należy często do »zdeklasowanych«. W domu u rodziców jeszcze był dostatek, »dobra familia«, delikatniejsze wychowanie; więc chociaż potomek »dobrej familii« pije na poddaszu herbatę i przegryza suchą bulkę, czuje się czemś wyższym, lepszym, niż robotnik zarabiający dwa razy tyle. Odziedziczona stopa życiowa trzyma na swoim poziomie cały kompleks uczuć i nałogów z wytrwałością, dającą się objaśnić jakąś inercją gatunkową chyba.

Wytrwałość ta ma nietylko znaczenie narządu szczątkowego, ale liczy się także z karierą, do jakiej dzisiaj praca umysłowa jeszcze zawsze uprawnia. Głodujący prawnik, lub medyk marzyć może o bogactwach; teolog o tłustem śnie może probostwie, filozof o dziełach, które tysiącami rozchodzą się kiedyś będą po świecie.

Ale ta szara rzeczywistość nielitościwie się z marzeniami podobnemi obchodzi. Rozwój kapitalizmu idzie coraz dalej: ogarnia powoli całą dziedzinę ducha ludzkiego; degraduje tego »akademika« i jego przyszłość do kategorii zarobkowych, w których zarobek określa się najpierw kosztami produkcji, a potem popytem i podażą...

»Honor« stanu ratuje jeszcze państwo, potrzebujące masy biurokratów, dające im aureolę »organów władzy«, pensję, awans, emeryturę i zabezpieczenie wdów i sierót. »Akademik«, dawny adept nauki, uwieszony u karmicielki, piersi »*Almae matris*«, staje się dziś zawczasu kandydatem na urzędnika-biurokratę i w tem szuka odznaczenia od szeregu gminu zwykłych obywateli.

Gdybyśmy więc na podstawie tej króciutkiej analizy socjologicznej przyjrzeni się poczuciu »akademickiej« godności, zobaczylibyśmy tu szczątki dawnej cechowości, trochę zamilowania czystej wiedzy, odziedziczoną »stopę życiową«, marzenia o karierze przyszłej i bardzo, ach jak bardzo wiele obliczeń stopni i pensyi urzędniczych.

To duchy przeciętne, masa »akademicka« dzisiejsza, zostają pod przemożnemi wpływami społecznymi.

I chociaż niejednego z nas zaboli taka analiza, choćbyśmy chętnie przeciwko niej protestować pragnęli, zjawiska przeciętne goświata »akademickiego« będą takimi, jakimi pod określonymi wpływami być muszą.

A przecież buntuje się przeciwko tym pojęciom historya. Ta historya, która widziała w Paryżu spiski studenckie, a chwałą okryła naszych »belwederczyków« i naszych ofiarników z r. 1861—63. Legie studenckie w Niemczech, ruch »Burschenschaftów« z epoki odrodzenia Niemiec, cierpienia rosyjskiej i polskiej młodzieży w pojedynku jej z caratem, to wszystko wskazuje na niesłychaną wrażliwość młodzieży uniwersyteckiej na ruchy etyczno-polityczne. Wspaniałe to karty dziejów młodzieży, cóż kiedy obok nich widzimy spiski rojalistyczne studentów francuskich, a u nas nawet przeszliśmy przed rokiem orgię młodych »żywiolów porządku«, napadającą robotników i kijem broniącą autorytetu upadłego prezydenta ministrów...

Czy wrócą legie, barykady, rewolucyjne korporacje studenckie?

Wątpić w to się godzi. Walka społeczna rozszerzyła się i pogłębiła; w masach tworzy się ewolucya pojęć tak gruntowna, że wobec niej »radykalizm« sentymentalno-rewolucyjny byłby igraszką niepotrzebną. Myśl ludzka wsparta na potężnych koniecznościach procesu produkcji i wymiany, sięga dalej, niż by dojść można drogą barykad i walk ulicznych. Brak młodzieży akademickiej owych impulsów, działających dawniej na masę podniecająco; ciężka praca wśród jedyne go rewolucyjnego czynnika czasów naszych: proletaryatu, ta raczej odstrasza swym ogromem i systematycznością, niż pociąga. To też z dwóch tysięcy »akademików«, za ledwie jeden procent zajmuje się nią w Galicyi. Reszta pozostaje zaprawdę w zupełnym indyferentyzmie wobec zagadnień, które dzisiaj wstrząsają społeczeństwem.

Doszliśmy może dzisiaj do punktu zerowego, bo tradycje powstańcze wygasły, a raczej zostały ugaszone wśród młodzieży, frazes pracy organicznej nigdy młodzieży nie pociągał i pociągać

nie mógł, a nowe idee nie nabyły jeszcze owej siły, jaką odznaczać się muszą, aby przeniknąć większe grupy młodzieży owym idealizmem, czy ideologią społeczną i etyczną, jaka wyrasta na podkładzie nowych klas, dążących do swej emancypacji.

Tu przerwijmy, aby się zapytać, dlaczego tylko o czynnikach etyczno-społecznych mowa? Dlaczego nie uwzględniamy reformatorskich kierunków w naukach ścisłych lub w dziedzinie sztuki? Odpowiedź prosta: czysto ideowe procesy odznaczają się najmniejszą siłą motoryczną, a estetyczne kwestye w społeczeństwie nie mającym niemal co jeść i w co się przyodzierać, odgrywają w gruncie rzeczy niezmiernie małą rolę. Jest wprost rzeczą niemożliwą, uważać młodzież »akademicką« za adeptkę czystej nauki; takie rzeczy mówi się z katedr lub przy uroczystych okazjach, ale nikt naprawdę w to nie wierzy. Nauka ma swoich kapłanów, którzy jej w ciszy bibliotek i laboratoriów służą; młodzież jako taka nigdy się w całości tym procesom myślowym pochłoniąć nie dała i i nie da.

A sztuka? I ta nie pochłonie młodzieży. Można wprowadzić dzisiaj wśród naszych grup »akademickich« obserwować pewien fanatyzm kultu »nagiej duszy«, czy jak się ów estetyczny absolut nazywa, ale uprawianie owego kultu polega w wielkiej części na tem, żeby wieszczą nikt nie mógł zrozumieć... Jest to szczególny arystokratyzm mózgu i serca, pastwiący się tak chętnie nad zdrowym rozsądkiem, sensem, rytmem, rymem i wogóle pięknnością mowy ludzkiej, że społeczeństwo musiałoby najpierw stać się bezładną zgrają anarchistów myślowych i uczuciowych, aby kult »nagiej duszy«, taki, jakiego próbki przed sobą widzimy, mógł się stać ogólnym i zapanować. Do tego zaś jeszcze nadzwyczaj daleko.

Oto dlaczego zajmowaliśmy się głównie motywami etyczno-społecznyymi.

Nie chcielibyśmy, aby nas fałszywie zrozumiano; nie zwalczamy wcale idealizmu u młodzieży, bo jest to rzeczą niemożliwą. Młodzież musi być idealistycznie nastrojoną; cała rzecz w tem, czy ten idealizm będzie wyrastał na podkładzie np. patriotyczno-powstańczym, czy społeczno-rewolucyjnym, czy burżuazyjno-kapitalistycznym, czy bigocko-biurokratycznym, czy będzie silnym, czy słabym.

Jakiegoś »absolutnego« idealizmu, radykalizmu, postępowości i t. p. nie ma wśród młodzieży. Przydałoby się to rozeznanie tym wszystkim, którzy tak dużo deklamują o powołaniu i roli akademickiej młodzieży w społeczeństwie.

Kraków w lutym 1899.



BAUDOUIN de COURTENAY.

O PEWNYM STAŁYM KIERUNKU ZMIAN JĘZYKOWYCH  
W ZWIĄZKU Z ANTROPOLOGIĄ.

(Dokończenie.)

Jaka tedy jest »przyczyna« tego stałego ogólnego kierunku zmian fonetycznych? od czego ten kierunek zależy?

Czy to jakiś nakaz z góry? jakieś przeznaczenie, włożone w język, a będące wynikiem celowości przedistnieniowej?

Bynajmniej.

Ów kierunek zmian językowych jest po prostu skutkiem dążenia do możliwego oszczędzania pracy, do ekonomii pracy w trzech znanych nam kierunkach: w kierunku fonacyjnym, audycyjnym i cerebracyjnym.

Dłużej się nad tem nie rozwodzę, ale zaznaczę jedynie, że owa dążność do oszczędzania pracy usuwa wszystko niejasne, nieokreślone, skomplikowane, niepotrzebne. A z tego stanowiska przesuwania wymawiania od tyłu ku przodowi, jego wychodzenie, że tak powiem, na zewnątrz jest ułatwieniem ze stanowiska wszystkich trzech stron procesu społeczno-językowego: ze stanowiska fonacyi, ze stanowiska audycyi i percepcyi, oraz ze stanowiska centralno-językowej zdolności rozróżniającej.

\* \* \*

Zapowiedziałem, że ów stały kierunek zmian językowych będę rozpatrywał w związku z antropologią.

Antropologia, tak jak ja ją rozumiem, jest nauką o cechach ludzkich, charakteryzujących rodzaj ludzki w różnicy od innych istot żyjących, a określanych obiektywnie, na podstawie nie bajek, ale na podstawie metodycznego badania faktów, i oczywiście na tle ewolucyjnym, na tle rozwojowem.

W antropologii rozróżniamy dwie części:

pierwsza ustanawia różnicę obiektywną człowieka od zwierzęcia,

druga zaś zajmuje się rozwojem cech ludzkich już w samym rodzaju ludzkim.

Jeżeli zastosujemy to do języka, to okaże się, że przejściu zwierzęcia-przedczłowieka w człowieka towarzyszyło wyjście głosów czyli brzmień, skojarzonych z pewnym znaczeniem, z krtani do jamy ustnej. Najwyżej uorganizowane zwierzęta ssące przy wydawaniu głosów pracują wyłącznie krtanią. Ale oto przed-człowiek staje na dwóch nogach, z czworonoga lub czwororęka staje się

istotą dwunożną i dwuręczną, śmiało spogląda przed siebie, a jednocześnie głos jego wychodzi z krtani do jamy ustnej.

Wyszedszy z krtani, wymawianie umiejscowione trzymało się głównie tylnych regionów jamy ustnej, bez udziału przedniej części języka.

Jeżeli budowa anatomiczna człowieka kopalnego upoważnia nas do wniosków, stojących w związku z naszą kwestyą, to możemy przypuszczać, że człowiek pierwotny nie posiadał prawie wyrostka podbródkowego (*tuberculum mentale*), jego wewnętrzna kość podbródkowa (*spina mentalis interior*) była bardzo w tył podana, a w związku z tem oczywiście mięsień podbródkowo-językowy (*musculus genioglossus*) był bardzo słabo rozwinięty. Czyż potrzeba jeszcze wyraźnie zaznaczać, że w takich warunkach ruchomość przedniej części języka, grającej dziś tak ważną rolę w wymawianiu wszystkich znanych nam języków, była wówczas minimalną? Ale bo też ów człowiek kopalny, ze względu na swoje organa mówne, był więcej zbliżony do małpy i do zwierząt wogóle, aniżeli do dzisiejszego człowieka.

Później dopiero potomkowie człowieka pierwotnego usiłują z coraz większem natężeniem wprawiać swój język do ruchów mówniczych, a ten w ciągu wielu pokoleń powtarzający się masaż samodzielny wyrabia w przedniej części języka coraz większą giętkość i podatność fonacyjną. W związku z tem rozwija się grupa mięśni podbródkowo-językowych, sam podbródek coraz bardziej wystaje, a potomek człowieka pierwotnego zbliża się pod względem zdolności fonacyjnej do człowieka najnowszej fonacyi antropologicznej.

Ręka w rękę z tym rozwojem i w ściślejszej od niego zależności idzie coraz większa różnorodność prac przedniojęzykowych: a chociaż, przechodząc od razu od udoskonalonych potomków człowieka pierwotnego do plemienia, którego język odtwarzamy jako wspólny stan pierwotny późniejszych języków aryoeuropejskich, dokonywamy ogromnego skoku przez całe wieki, a może nawet przez całe dziesiątki tysięcy lat, to jednak stały kierunek zmian fonacyjnych pozostaje jeden i ten sam, tak tu, jak i tam.

Kierunek zaś ten polega na coraz większem oddalaniu się od stanu zwierzęcego, i dla tego można go słusznie nazwać coraz bardziej rosnącym człowieczeństwem języka.

Ten stały kierunek zmian fonacyjnych ku wyjściu z organizmu odpowiada ogólnemu kierunkowi rozwoju antropologicznego, dającego się zresztą spostrześć w zarodku u niektórych zwierząt,

jak u pajaków, u pszczół, u mrówek, u ptaków budujących gniazda, u bobrów, u małp itd.

Kierunek ten polega na przedłużaniu swojej indywidualności w świat zewnętrzny, na użytkowywaniu czynników przyrody do celów samoobrony i własnej twórczości. Miejsce szerści, chroniącej ciało od wpływów atmosferycznych, zastępuje odzież i mieszkanie. Na pomoc zębom i pazurom staje broń wszelkiego rodzaju. Śpiew krtani ludzkiej wychodzi na zewnątrz w postaci instrumentów muzycznych. Twory własnej wyobraźni uzmysławia człowiek w dziełach sztuki; a, jako dalszy ciąg mowy, służą mu do porozumiewania się pismo, telegraf, telefon, nareszcie elektryczność bez drutu.

Przy tem wszystkim strona duchowa człowieka coraz bardziej się doskonali, uchodzi w głąb. Bieguny antropologiczne coraz bardziej się od siebie oddalają. Człowiek najbardziej uduchowiony, najpotężniej myślący, najpotężniej też opanowuje przyrodę i robi ją kontynuacją własnej istoty, stając się niby wielkim polem, trzymającym przyrodę w swych kleszczach.

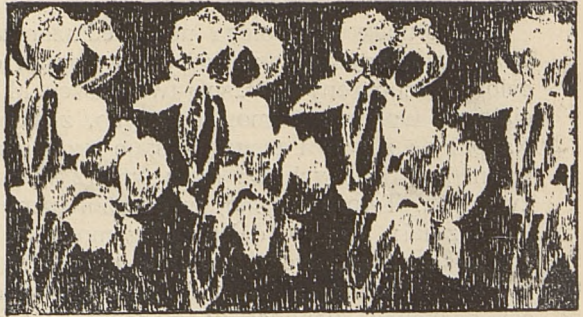
Jeżeli zaś zwrócimy uwagę na wyrazistość fizjonomii człowieka uduchowionego, musimy przyznać, że i na samej twarzy ludzkiej ten proces antropologiczny wyciska niezatarte piętno.

To samo oddalenie się biegunów antropologicznych daje się zauważyć i w historii mowy ludzkiej. Wymawianie języka uchodzi na zewnątrz, ale myśl językowa coraz bardziej się zagłębia.

Tylko że tutaj »zagłębianie się« zmienia swoje znaczenie pierwotne i powinno być rozumiane przenośnie. Stosunki czysto przestrzeniowe stają się jakimiś innymi, których wymiary pozostają dla nas dotychczas zagadką, nie dając się rozłożyć na prostsze składniki.

W tym stałym kierunku zmian językowych, w związku z innymi zmianami antropologicznymi, objawia się postęp obiektywny, postęp w samej przyrodzie, w samym przedmiocie, postęp, niezależny od samowoli lub kaprysu.

Czy i w innych sferach objawów psychiczno-socjalnych, a zwłaszcza w etyce, istnieje również podobny postęp obiektywny? Jestto pytanie, na które odpowiadać nie mając jest rzeczą.



Adam Siedlecki.

## NIEWOLNICY KRWI

opowieść sceniczna w trzech odsłonach.

Matce mojej.

Rzecz dzieje się we Warszawie. Akcyę sztuki wypełniają następujące osoby:

Jerzy Skierski, prawnik uniwersytetu warszawskiego; hr. Jastrzębowiec, Józek, Kostecki — malarze; Doktor; Nitowicz, osoba »bez określonej taczki życia«; Władka, Mańka i innych modelek kilka.

Kolber, adwokat warszawski; Marta, jego żona; Marynia, jej siostra; pani Chomieniewska, matka Marty i Maryi; kuzynek Adaś; Anusia, pokojówka u Kolberów.

Pękowski, fryzyer teatralny; Maszynista teatralny; Felek, pomocnik maszynisty; Grzegorzowa, stróżka obsługująca Skierskiego.

### ODSŁONA PIERWSZA.

Scena przedstawia pokój zakulisowy w teatrze amatorskim. Dwoje drzwi. W ostatnim planie widać ustawione kulisy, imitujące las. W pokoju nieporządek. Do jednej ściany przysunięty stół, na nim świeca, szminki, peruki, flaszeczki i lampa. Tu i ówdzie garderoba, rzucona w pośpiechu. Również akcesorya: kominek, meble stylowe, rzucone kulisy etc. Przy stole ławeczka. Jedna z bocznych ścian ustawionej scenki przysłonięta kotarą płócienną, która się ciągnie po przekątnej aż do rogu pokoju. Jedne drzwi prowadzą do sali widzów (lewe) — prawie do damskiej garderoby. Na ostatnim napis: »garderoba pań«.

Na scenie: Marynia \* siedzi na ławeczce przed stołem. Pękowski charakteryzuje ją. Marynia ma na sobie kostium damy »empire«, odpowiednia peruczka na głowie. Kostecki, ubrany w kostium panicza z XVIII wieku, całkowicie ucharakteryzowany. Adaś w kostymie, ale bez peruki, przy podniesieniu kurtyny obuwa nogę pantoflem stylowym. Maszynista przy kurtynie. Felek. Z za kulis scenki mały gwar — przyciszony. Z oddali, z sali widzów dochodzi muzyka.

Marynia. Adasiu! Zobacz, czy się prędko ułoży.

Kostecki. Zaraz podniosą kurtynę.

Adaś (uchyla jedną z kulis, zagląda wewnątrz scenki). Prędko państwo będziecie gotowi? (Zatrzymuje się chwilę na miejscu).

Pękowski (kończąc charakteryzację). Zaraz, jeszcze trochę (robi rysę na twarzy). Raz. Tu jeszcze. Chwileczkę. (Odstępuje na krok, przypatruje się). Tak! (Kładzie szminkę na stół). Schluss!

Marynia (wstaje i przegląda się w lustrze — zadowolona).

Kostecki (patrząc na Marynię). Portrecik!

Pękowski. Niechby nie był!

Marynia. Dziękuję panu. Pana Jerzego nie ma jeszcze? Kiedyż on przyjdzie?

Kostecki. Mógłby już być. Za chwilę rozpozniemy.

Pękowski. Autor powinien warować.

Marynia (we drzwiach, wiodących do garderoby). Może nadejdzie. — Adasiu, powiedz mi, gdy pan Skierski się zjawi.

Pękowski (do Kosteckiego). Co to za panna?

Kostecki. Panna Chomieniewska.

Pękowski. Siostra tej mecenasowej...

Kostecki. ... Kolberowej. Ładna?

Adaś (do Pękowskiego). Może pan teraz mnie zacnie charakteryzować. (Siada. Pękowski go maluje i nakłada perukę).

(Na scenę wchodzi Kolber i Rozleniecki \* drzwiami z lewej strony).

Rozleniecki. Słuchajże Kolber, kiedyż ja będę mógł w końcu pogadać z tobą?

Kolber. Zaczekaj. Znajdziemy spokojny kąt (do Adasia): Czy tu Marty niema?

Adaś. Nie widziałem. Marynia jest w garderobie.

Kolber (daje Rozlenieckiemu afisz, rozłożony na krzeselku). Afisz.

Rozleniecki (czyta). »Na dochód kolonij letnich odbędzie się w dniu 26 listopada koncert, pod protektoratem mecenasowej Marty Kolberowej«. (Do Kolbera): Twojej żony? (Czyta): »Program: Żywe obrazy, układu hr. Jastrzębowca« — (do siebie): Hrabiego.

Jastrzębowiec (z za sceny). Władka czego się oglądasz?! Tak, ty nigdy nie ułożę.

Rozleniecki (czyta). »Komedia w jednym akcie: »Starościna-starościanka«, umyślnie na ten cel napisana przez Jerzego Skierskiego.

Kolber. Prawnik; bywa u nas. Młody chłopak. Bywa u nas.

---

\* Kolber mężczyzna 38-letni. Zachowanie jego cechuje urobiony spokój, pod którym się czuje wręcz wrażliwość nerwową. Ubiór, ruchy, gest, odezwanie — cechuje nabyta dystynkcja, nieco tańszego typu. Ubrany we frak. Rozleniecki zaśniedziałły obywatel w wieku Kolbera. Ubiór: czarny tużurek.

---

\* Marynia jest dziewczyną dwudziestoletnią. Wysoka, kształtnie zbudowana. Całą postawę cechuje wrodzony arystokratyzm ducha. Ekspresja wzroku i pewna leniwość ruchów, znamionująca namiętność temperamentu. Głos przyciszony.

(Władka wygląda z wewnątrz scenki.  
Ubrana w kostyum rusałki).

Jastrzębowiec (ukazuje się za nią). Władka,  
dokąd ty idziesz? (Odciąga ją zirytowany).  
Władka (prosząco). Mój drogi, chwileczkę. —  
Kostek, niema tego, coś to mówić?  
Kostecki. Skierskiego? Nie, ale jest twój  
Kolber.  
Władka (z niesmakiem). Strasznieś dowcipny...  
Ciewy! (Chowa się napowrót w scenkę).

---

Rozleniecki (pokazując na Władkę). Co to  
za lafirynda w tej koszuli?  
Kolber. To modelka.  
Rozleniecki. Modelka. — A prawda; żywe  
obrazy.  
Pękowski (do Adasia). Czy się pan będzie  
ruszał, czy się pan nie będzie ruszał?  
Kolber (do Rozlenieckiego) Widzisz, a ten  
Torini, tenor to prawie samouk.  
Rozleniecki (rzuca afisz). Ta daj mi pokój  
z twoimi tenorami i koncertami! Gadaj, po  
kiego dyabła ja tutaj przyjechał.  
Kolber. Zaczekaj...  
(We drzwiach od garderoby ukazuje się  
Marynia).

---

Jastrzębowiec (wchodzi ze scenki, mówi  
w kulisę). Teraz uwaga! Nie ruszać się!  
Mańka, podaj się w tył! Tak. (dzwoni).  
Niechże tam ta muzyka ustanie!! Spokój!  
(Muzyka cichnie). Spokój. (Uderza trzy razy  
nogą i daje znak maszynie). Kurtyna!  
(Wchodzi Jerzy Skierski \*).

Kolber (do Rozlenieckiego, zobaczywszy Ma-

\* Jerzy Skierski, mężczyzna 24-letni, wy-  
soki, ślicznie zbudowany. Czarne włosy zapusz-  
czone z pewną pozą. Nos orli wydatne brwi.  
Ruchy chorobliwie nerwowe. Dykcja szybka,  
ton głosu despotyczny, ruchy rąk i głowy  
raptowne i nieobliczalne. — Ubrany w mun-  
dur akademicki, dość podniszczony.

rynię we drzwiach). A to moja kuzynka.  
Chodź, przedstawię cię.

---

Marynia (zobaczyła Jerzego; biegnie doń,  
nie zważając na Kolbera i Rozlenieckiego).  
A! pan Jerzy!... (Z wymówką; — ciepło).  
Co tak późno.  
Jerzy (rzuca niedbale czapkę i szynel). Nie  
mogłem... (Pokazuje ręką na scenkę). Obraz?

---

(Ze sali widzów słychać brawo).  
Jastrzębowiec (do maszynisty). Spuścić!  
(Widząc, że brawo nie milknie). Auf!  
(Maszynista podnosi kurtynę).  
Jastrzębowiec (do maszynisty po chwili).  
Na dół!  
(Za sceną jeszcze słychać brawo, na-  
stępnie na scenę wbiega kilkanaście  
modelek, przebranych za rusałki i Józek  
przebrany za satyrę leśnego. Na scenie  
robi się gwarно. Śmiech, wrzawa, po-  
jedyncze głosy niktą. Jerzy okazuje  
zniecierpliwienie; zaczyna dzwonić. Gwar  
trochę cichnie. Marynia w samym po-  
czątku dyskretnie usuwa się do garde-  
roby).

Mańka (do Władki). Widziałś tego faceta  
w pierwszym rzędzie? To ci śmieszny! Ha,  
ha, ha!  
Jerzy (do Jastrzębowca). Dekoracje? — Mo-  
żna rozierać? (Ciągły śmiech).  
Jakiś głos. Józek!  
Jastrzębowiec (do Jerzego). Owszem.

(Jerzy daje znak maszynie. Ten  
z Felkiem rozbiegają kulisy. Po odjęciu  
zewnątrznych ścian, ukazuje się kurtyna,  
rząd kinkietów, otwór budki suflera;  
w ramach scenki kilka dekoracji, imi-  
tujących krzewy, pniaki etc. — Dwie  
czy trzy modelki biegną do kurtyny,  
lustrować publikę przez otwory kuli-

sowe. Niezależnie od tego na scenie  
szybka, gwarna rozmowa:

Mańka. A wiesz Władka, ten Józek, bestya  
to mnie jeszcze szczypał.

Pękowski (do Adasia). Albo się pan dasz  
robić — albo cisnę.

Jastrzębowiec. No! Teraz, kto pokazuje  
w »Wyroczeni«, jazda do garderoby.

Kilka głosów wśród modelek. Idę. —  
Ja nie pokazuję. — Zosiu! chodź. — Po  
co tak zaraz! — Chodźmy, etc.

Jastrzębowiec. Mańka!

Mańka. Zaraz przyjdę, moje złotko.

(Wszystkie modelki, oprócz Władki  
i Mańki wychodzą za kotarę płócienną,  
za nimi Jastrzębowiec.)

Jerzy. Prędko rozbierać. Gdzie Nitowicz?

Władka. Widzisz, to jest Skierski.

Mańka. Przecie go znam — Józek daj pa-  
pierosa.

(Józek częstuje je. One siadają na pace  
wywróconej w drugim planie, zapalają  
papierosy. Kostecki pomaga w robocie  
Maszynłście i Felkowi: znoszą kulisy,  
przedstawiające stylowy salonik XVIII  
wieku, fotele, kominek, kłęcznik etc.,  
Ściany pokoju przykręcają do podłogi,  
umocowują drzwi. Rozmowa na sce-  
nie wciąż trwa w szybkim tempie. Ruch.)

Maszynista (do Władki i Mańki). Proszę  
się usunąć. (Do siebie). Nie lubię takich —  
(przykręca boczną ścianę).

Adaś (do Pękowskiego). Możeby mi pan brodę  
przyklepił, tobym starzej wyglądał.

Pękowski (z samowiedzą wyższości facho-  
wej). Idźże pan, idź! Widziałeś pan rokoko  
z brodą? Co?

Adaś. A... a prawda.

Pękowski. No to pan nie chciej brody.

Ampir peruczka i broda. Także! Niewolno  
brody: goła gęba.

(Marynia, widząc iż modelki wyszły,  
podchodzi ku pierwszemu planowi. Kol-  
ber zbliża się do niej; chce coś po-  
wiedzieć. Marynia ostentacyjnie odcho-  
dzi. Kolber z irytacją wraca do Rozle-  
nieckiego. Rozleniecki przez cały czas  
pozostawał na scenie; czuje się nieswój  
w tym nastroju; albo on komuś, albo  
jemu ktoś przeszkadza.

Mańka (ukazując na przechodzącego obok  
nich Kolbera — cicho). To ten twój Kolber?  
Władka. Widzisz; to przejdzie koło czło-  
wieka i uda, że nie widzi.

Mańka. Jakaś ty głupia. Przecie przy wszy-  
stkich nie może.

Władka. To też nic nie mówię. Ale to przy-  
jemne nie jest; sama powiedz. (Naraz en-  
tuzyastycznie, z iskrzącym wzrokiem). Pa-  
trajno, patrzaj! Jaki on teraz ładny!

Mańka. Skierski!

(Patrzą obiedwie na niego — pauza. —

Władka (z uwielbieniem). To chłop!

Marynia (cicho). Jerzy!

Jerzy. Zaraz, moja pani. (Do ustawiających  
scenę). Kominek na samym przodzie! (Pod-  
chodzi do Maryni — zwraca się do Kost.).  
Dlaczego orkierstra nie gra?

Marynia. Jerzy — więc to dziś...

Jerzy (odruchowo). Aha... (Z uświadomieniem).  
Co mówisz?

Marynia. \* Dziś.. przełomowa chwila.

Jerzy. A tak! Albo skręcę kark... albo —  
Marynia. Sława!

Jerzy (do Felka, niosącego firanki). Nie trzeba

\* Cała scena ta powinna być prowadzona  
półgłosem.

portyer. (Zwraca go gestem. — Do Maryni). Pamiętaj o tej scenie z cześćnikami. Ta scena... Nerwem nerwów grać! (Zapala się). A gdy popatrzysz na niego — to ani słowa, ani dźwięku, tylko mu wzrokiem plunąć w twarz!!

Marynia (ciepło). Jabym tak chciała dobrze zagrać, tak dobrze...

Jerzy (roztargniony). Ekran przed kominkiem... (Usiłując przedłużyć rozmowę). Tak, to przełomowa chwila...

Marynia (przymyka oczy na pół, jakby chciała coś zobaczyć ze świata wspomnień). Stawa! (Bierze Jerzego za rękę). Jerzy! to przecie sen nasz!! (Przegina się w ruch nęcący — patrzy mu życzliwie w oczy). A gdy stary dzieciak będzie sławnym?... (Coraz namiętniej). No — co wtedy będzie?... (Ścisła nerwowo dłoń jego; gorącym szeptem). Nie zapomni o swojej Maryś, o tej Maryś, co...

Jerzy (ciągle myślą przy dekoracjach i dekorujących). Naturalnie... naturalnie... — Niechże tam ta orkiestra zagra! Zaczną bić o podłogę.

Marynia (urazona do żywa). Tak jest. — Publiką przedewszystkiem. (Oddała się).

Jerzy. Fotel nie tak. (Z irytacją). Eh! — Bliżej! Eh!! (wpada za kulisy).

---

(Jerzy wraca na scenę, osobiście pomaga maszyniście ustawiać kulisę z głównymi drzwiami. Kolber obserwował uporczywie rozmowę Maryni z Jerzym; na twarzy nie zdradzał żadnego wrażenia. Teraz podchodzi do Maryni, zatrzymuje się w pewnym oddaleniu, jakby go co oddalało od niej).

Kolber (zimna ironia, pewność siebie). Kochankowi zdaje się pogniewani coś nie coś?

(Marynia mierzy go wzrokiem zimnym, niechętnym, odruchowo prostuje się wyniosłe, — nie mówi ani słowa).

O cóż to poszło?

(Marynia spokojnie odwraca głowę od niego na znak, że nie chce odpowiadać).

(Z wymuszonym sarkazmem). Czy pan Jerzy był nie dość rycerski?

(Marynia spogląda na niego przez ramię).

A widzisz — mówiłem, że ja więcej wart od niego w miłości.

(Marynia odchodzi raptownie. Kolber prowadzi za nią wzrokiem; twarz zaczyna mu drgać nerwowo od pasowania się ze złością. Ruch głową, jakby chciał powiedzieć: »twarda«. Następnie przechodzi do Rozlenieckiego).

(Głosem prawie spokojnym). Chodź, pójdziemy na salę — tu za gorąco. (Wychodzą z Rozlenieckim do widzów).

---

Mańka (do Władki). O co ci w końcu chodzi? Nie dobrze ci z nim? Nie hrabia, ale dosyć bogaty.

Władka. Co mi tam, że bogaty...

Mańka (do Władki). Władka nie gadaj! A jakbyś jego nie miała, to co byś robiła? Śmieci byś kupowała.

Władka. Ale by mi łżej było.

Mańka. Coby ci było?

Władka. Łżej.

Mańka. Takby ci było łżej, aźbyś spuchła.

Władka. E! mnie nie o to chodzi. Jabym tak chciała — sama nie wiem, jak to powiedzieć, — tak widzisz, żeby to inaczej. Nie tak, jak z Kolberem. Kolber... — Żeby przecie czuć, że mu człowiek przyjemny. Pomówić czasem. Nacieszyć się... Wiesz... ja to sobie tak czasem myślę..., myślę, i nie wiem kiedy rozbeczę się... — Tak mi cze-



goś wtedy żal, że ja już nie dziecko. Sama nie wiem dlaczego.

Mańka. Ji! głupiaś Władka i tyle.

Władka. Możem ja i nie taka głupia...

Maszynista. Usuńno się panna, mówię!  
(Mańka przechodzi, Władka zostaje zamysłona).

---

Jerzy. Niechże tam ta muzyka zagra! —  
Gdzie ten Nitowicz!?

(Kostecki idzie wewnątrz scenki — niebawem wraca).

Adaś. Moja taca z winem? Gdzie moja taca?

Kostecki (do Jerzego). Powiedziałem. Zaraz zagrają.

(Muzyka zaczyna grać mazura dość głośno. Na scenie coraz większe rozdernowanie, pośpiech; Mańka przytupuje w takt mazurowy. Władka podchodzi do niej; wodzi wzrokiem za Jerzym).

Jerzy (usłyszał muzykę). Przecie!

Adaś. Taca mi zginęła.

Jerzy. Co ja bez Nitowicza zrobię? Z nim to zawsze tak. (Chodzi nerwowo, bezcelowo po scenie).

Adaś (do Kosteckiego, zajętego przy kulisach). Proszę pana, czy mi pan nie wziął tacy z winem?

Kostecki. Idźże pan do dyabła ze swoim winem!

Jerzy. Wszyscy gotowi? Gdzie cześnik? (Zagląda za kotarę). Jest.

(Wchodzi Nitowicz \*).

Kostecki. Jest Nitowicz.

Jerzy. Jesteś. — Nareszcie! Właź do budy. Nitowicz (spokojny zawsze niewzruszenie).

Zaraz. Sprawy osobiste przedewszystkiem; czy jest tu Kolberowa?

Jerzy. Nie widziałem. Właź do budy.

Nitowicz (ze spokojną irytacją). Właź! właź! właź!!... Właśnie, że nie właź... Przyszedłem oświadczyć — dobry wieczór panno Maryo; (obserwując kostium jej) doskonale — oświadczyć, że nie będę suflował.

Jerzy (prawie równocześnie z następującymi).  
Cóż znowu za heca!?

Marynia. Ale panie Nitowicz...

Adaś (do Kosteckiego). Pan Nitowicz nie chce suflować. Heca! (Zadowolony).

Kostecki. Jak? Jak? Co ty Nit...

Jerzy. Musisz!

Nitowicz. Nie będziemy się bawić w suflera, bo nas przelyk boli.

Kostecki (łapiąc go w ferworze za rękaw):  
Zkądże my teraz suflera weźmiemy!

Nitowicz (uwalniając rękę) Nie szarp!

Marynia (prosząc). Panie Nitowicz...

Jerzy. Zrozumże idyo..., że bez ciebie nie mogą grać.

Nitowicz (potakująco). A... a tak.

(Jerzy rozłoszczony wybiega do widzów).

Maszynista. Felek, ekran!

Felek. Zaraz!

Maszynista. Nie zaraz, tylko po ekran dy-maj! (Felek odchodzi). Felek świderek!

Felek. Będzie. (Wychodzi).

Maszynista. Felek! Felek!

(Wchodzi Marta Kolberowa \*).

Kolberowa. Moi państwo spieszcie się, bo to najwyższy czas.

---

\* Lat 28—30. Pod pozorami zaniedbania towarzyskiego, we wzroku, w wytwornej ironii głosu przebija się indywidualność nieprzeciętnego rodzaju. — Ubrany podług przepisu: frak, bez szapoklaka, rękawiczki zwinięte w kłębek, w rękę.

\* Te same cechy dystynkcji, ta sama swoboda, co i u Maryni; temperament żywszy, skierowany raczej na załotność, niż na namiętność. Dużo swobody zachowania. Ubrana w strój wizytowy wytworny — na głowie kapelusik.

Nitowicz. Aa! szukam mecenasowej.

Kolberowa (wita się ze wszystkimi z uśmiechem, życzliwością). Dobry wieczór — do bry wieczór. Jak się macie. — Aa! Marynka! (Ogląda ją naokoło, okiem zadowolonej znawczyni).

Kostecki. Pierwszy dzwonek można dać?

(Dzwoni — muzyka po chwili ustaje. Dzwonek robi na wszystkich wrażenie; trema się wzmaga. Na scenę wpada Jerzy, ciągnąc za sobą prawie przymocowaną doktora).

Jerzy (tryumfująco). Jest sufler!

Marynia, Kostecki, Adaś, Nitowicz (prawie razem). Pan doktor. — Wyśmienicie. — Doktor. — Chwała Bogu.

Doktor. Ale moi państwo — ale moi państwo — ja nie mogę, ja nigdy — moi państwo, ale...

Jerzy. Chodź na scenę. (Ciągnie go).

Doktor (coraz rozpaczliwiej). Moi państwo!!

(Jerzy, Kostecki, Marynia, a zwłaszcza Nitowicz, wpychają go gwałtem za kulisy. Kolberowa śmieje się serdecznie).

Nitowicz (równocześnie z powyższym). Do budy z nim! Niema dwóch słów. — Przecie lepiej, że się doktor zmęczy, a nie ja.

(Podchodzi do Kolberowej; w cichej rozmowie odchodzą w ostatni plan).

Adaś (znalazł za kulisami tacę — ucieszony). Mam tacę! Mam tacę! (Bębni w nią kulakiem).

---

Jerzy. Starościna na scenę!

Marynia. O joj joj!... trzęsę się. — Idę. (Do Jerzego pieszczotliwie): No... stary dzieciak nie będzie życzył powodzenia swojej Maryś?...

Jerzy. Ale owszem — owszem. (Całuje jej rękę). Scena z cześnikiem! pamiętaj.

---

Władka. Kostek! Kostek!... (Zaniepokojona).

Czy ten Skierski żeni się z tą panną? (Pokazuje na Marynię).

Kostecki (z uśmiechem). O! tak bardzo znowu, to nie.

Mańka. Ale co się kochają, to się kochają.

Władka (ze wzruszeniem — smutnie). Jezusie! kochają się... kochają się.

(Marynia wychodzi za kulisy. Jerzy zatrzymuje się we drzwiach).

---

Jerzy. Zupełnie swobodnie... Taak... Co pani

mówi? (Kiwa głową życzliwie). Dobrze... dobrze. (Wraca do tonu informacyjnego). Ale spokojnie. Lewą ręką podeprzeć głowę...

Oo! to, to! — Gdzie dzwonek? Prawda — muzyka... (Kostecki daje mu dzwonek). Józek — jesteś! siadaj. (Józek siada przy szpincie — zaczyna grać). Ciszej: z oddalenia... Gdzie dzwonek? A — mam. (Dzwoni).

Maszynista. Podnosić?

Jerzy. Prędkiej!

Maszynista (mruczając). Prędkiej, prędkiej! (Pluje w ręce). Jazda panie Walanty. (Ciągnie kurtynę).

Kostecki (otwiera drzwi — we drzwiach w tempie deklamacyi): »A starościna! Zawdy tak samotna...« (Zamyka drzwi, wychodzi w kulisy; na scenie cisza, zasłuchanie).

(Mańka, Władka, Jerzy, Pękowski, Adaś otaczają kulisy — patrzą wewnątrz).

---

Mańka (śmieje się). Jak on się kłania!

(Obiedwie z Władką wybuchają śmiechem).

Jerzy. Cicho!

(Mańka śmieje się wciąż — Władka urywa momentalnie).

Władka (mitygując Mańkę). Mańka!

Mańka (krzyczy do środka scenki z andrusowskim zacięciem). Kostek... jak się

masz... po czemu gruszki! (Ze śmiechem wybiega za kulisy).

(Jerzy patrzy na nią zły i rozdenerwowany).

Władka. Waryatka!

(Pauza. Jerzy powtarza półgłosem za grającymi słowa komedyi — w takt rusza głową).

Pękowski (do Jerzego). A co! Artysta!

Jerzy. Bardzo dobrze mówi.

Pękowski. He he! Ze starym Mondajem po po prowincjach jeździł... Znamy się jeszcze z Kalisza...

Adaś (pełen zachwyty). Jej, jej, jej! Jej, jej, jej!!

(Pauza).

Jerzy (niezadowolony). Eh!

Pękowski. I! Ona to kładzie.

(Pauza).

Władka (do Jerzego nieśmiało). Proszę pana, to pańska sztuka?

Jerzy (nie patrząc na nią). Tak jest.

Pękowski (do Jerzego z przeświadczeniem fachowej znajomości rzeczy). Ma fajer — czy nie ma fajeru?

Władka (do Jerzego). I to proszę pana same wiersze?

Jerzy. A jakże.

Władka. Jezusie, same wiersze!...

(Rozmowa się urywa).

Nitowicz (do Kolberowej). Widzi pani, ta rusalka — o ta, co z Jerzym flirtuje, to Władka.

Kolberowa. Czy to ta mojego męża?

Nitowicz. Mhm.

Kolberowa. Nie brzydka. Miły buziak. —

A wie pan, nasze damy pełne oburzenia na Marynię, że występuje na tym wieczorze, na którym i modelki biorą udział.

Nitowicz. Ale a propós... czy to prawda, o Roteckiej?

Kolberowa. A jakże; dziś rano odesłała rolę;

Skierski musiał wykreślić całą scenę.

Nitowicz. A Marynka.

Kolberowa. A Marynka uparła się i gra.

Władka (chcąc ponowić rozmowę). Ale pan... to jest pan Skierski?

Jerzy (pierwszy raz spogląda na nią). A tak...

Władka (z większą otuchą). A jak panu na imię?

Jerzy. Jerzy.

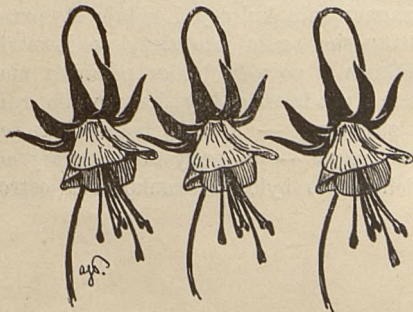
Władka. Jerzy..., to bardzo ładne imię: Jerzy. (Uśmiecha się doń. Jerzy zaczyna się nią zajmować).

Kolberowa (pokazuje Nitowiczowi powyższą scenę). Proszę patrzeć...

Nitowicz. Tym się spieszy.

(Spoglądają na siebie: uśmiechy; ona zalotnie, zachęcająco, on łotrowsko z humorem; mała pauza. Ona uderza go po rękę, on całuje ją w rękę, jakby dziękował za coś).

(D. c. n.)



## MŁODZIEŻ KONSERWATYWNA O SOBIE.

### I.

Dwa lata temu pojawiła się broszura zatytułowana „Współczesna młodzież polska“. W odpowiedzi na nią wydało krakowskie stowarzyszenie „Jagellonia“, które wystąpiło jako „ogólno-akademickie“, broszurę Stefana Fuchsa p. t. „Młodzież polska o sobie“. Pierwszej broszury, która wymagałaby osobnego szczegółowego opracowania, i stosunku jej do broszury p. Fuchsa omawiać nie będziemy; gdzie niegdzie tylko, korzystając z argumentacji autora, będziemy mogli zwrócić uwagę na jego poglądy. Wydawcom tej broszury, jak sami zaznaczyli, szło „o danie przez młodzież sobie samej materiału do badań nad swemi dążnościami i celami“; a dalej: „za najbardziej dodatni rezultat uważać będziemy, jeżeli oddzielne jednostki wśród młodzieży polskiej przeprowadzą nad sobą głęboką krytykę“. Rzecz p. Fuchsa zajmuje nas zatem jako rezultat krytyki nad sobą pewnego odłamu młodzieży, nie jako polemika z autorem „Współczesnej młodzieży polskiej“.

Z części polemicznej wypada chyba tylko wspomnieć o klasycznym zarzucie „podmiotowej nieokreśloności autora“: „w tych kilku wstępnych słowach, noszących tytuł „od wydawców“, odłam młodzieży, której staraniem wydanie odczytu przychodzi do skutku, nie jest nazwany“, i „ma obowiązek nazwać się, abyśmy wiedzieli, kto nas nawołuje“, bo „wobec odczytu takiego, jakim on się przedstawia, zachować się może każdy ostrożny młody człowiek, chociaż będzie miał całe uznanie dla morału głoszonego przez autora, z rezerwą“. Ten ustęp dowodzi niepopolitego zmysłu politycznego autora. P. Fuchs wypowiedział bardzo subtelnie zasadę, pod którą podpisaliby się najwytrawniejsi politycy, że w polityce nie należy nigdy uznawać sympatycznych przekonań u niesympatycznych osobistości, ale przeciwnie, rozbijać każdą akcyę, podjętą przez przeciwników politycznych, chociażby ta akcyę odpowiadała zupełnie naszym przekonaniom, i że wobec broszury, której autor jest nieznany, a więc mógłby być niesympatyczny, należy zachować się z rezerwą, „chociażby się miało całe uznanie dla morału głoszonego przez autora“. Ale pan Fuchs powinien pamiętać, że bywają wypadki, w których polityka, jak wyraził się Stanisław Koźmian w studyum o Bismarcku, „jest obrzydliwością“, i że tem jest ona tutaj. Jeżeli według p. Fuchsa autor „Współczesnej młodzieży polskiej“ nie określa jasno kierunku tego ogólnego ruchu umysłowego i etycznego, który chce budzić między młodzieżą polską, to za to zarzuty, który czyni „przeciętnemu studentowi galicyjskiemu“, że „zostaje głuchy na wielkie zagadnienia kultury i oddaje się przedewszystkiem własnej karierze“, że „umysłowe ogniska ogółu młodzieży we Lwowie i Krakowie ciągle były lub są zagrożone upadkiem z powodu braku poparcia materialnego i umysłowego młodzieży“, że wreszcie „młodzież galicyjska zbytnio zniżyła swe ideały, przystosowała je do normy panującej — i to ją podcięło w jej rdzeniu, wprost — w jej racyi bytu, jako młodzieży“ — te wszystkie zarzuty są zbyt określone i zbyt ciężkie, ażeby wobec nich wolno było jakimkolwiek ostro-

żnemu młodemu człowiekowi zachować się z rezerwą t. j. nie wypowiadać o nich swego zdania. O ile zatem p. Fuchs ze względu na „podmiotową nieokreśloność autora“ upoważnia „ostrożnych młodych ludzi“ do zachowania się z rezerwą tam, gdzie obowiązkiem każdego młodego człowieka byłoby wypowiedzieć otwarcie swoje zdanie bez względu na osoby, które sprawę poruszyły — o tyle nie ma racji i o tyle też broszura jego jest szkodliwa.

Broszura p. Fuchsa jest programem politycznym młodzieży konserwatywnej. Jako taka nie jest ona ani takim zbiorem nonsensów, za jaką ją mają jedni, gdyż autor nie zaniedbuje niczego, ażeby swoje wywody oprzeć na podstawie naukowej, ani tak niebezpieczną, jak twierdzą drudzy, ze względu na to, że ogromna większość młodzieży z tym programem się nie solidaryzuje. I tu nasuwa się kwestya tytułu. „Młodzież polska o sobie“ — nie nazwiemy może tego zatytułowania broszury publicystyczną niuczciwością; nie mamy danych, że autor tym tytułem chciał rozmyślnie pewien cel osiągnąć, zwłaszcza, iż później sam zaznaczył, że przemawia imieniem tylko „pewnego odłamu młodzieży“. W każdym jednak razie jest to publicystyczna uzurpacya, o tyle nietaktowna i szkodliwa, że na samym wstępie uspasabia czytelnika nieżyczliwie dla broszury i że wśród wielu ludzi, szczególnie w starszej generacyi, którzy czytali tylko tytuł, lub pobieżnie przerzucili broszurę, ustala się przekonanie, że autor chciał przemawiać imieniem polskiej młodzieży wogóle. Nie jest to zresztą kwestya, nad którą wartoby było dłużej się zastanawiać. Jeżeli zatytułowanie broszury nie wychodzi na korzyść młodzieży polskiej, to na korzyść autora jeszcze mniej. „Młodzież polska o sobie — napisał Stefan Fuchs“ — brzmi zupełnie humorystycznie.

Pozwólmy teraz p. Fuchsowi rozwinąć *credo* polityczne tego odłamu młodzieży, który go wybrał na swego reprezentanta.

„Jesteśmy młodzieżą, dla której najwyższym ideałem politycznym jest dobro ojczyzny, w której sercach żyje Polska cała, Polska wielka, Polska Jagiellonów.

To ojczyste dobro pojmujemy w obecnych warunkach bytu narodowości polskiej, jako uzyskanie możliwie najdalej idącego uznania historycznych praw naszego narodu, w koniecznem oczywiście pogodzeniu ich z prawną formą bytu państwa, do którego należymy.

Mając w ojczystej historii wymowne przykłady na to, jak zgubnem było dla kraju rozpasanie się politycznych namiętności u warstwy rządzącej, nauczeni więc doświadczeniem, postanawiamy przedewszystkiem kierować się w przyszłem publicznem, obywatelskiem życiu — rozumem. Podporządkować mu chwilowe porywy, uczynić go także w sprawach politycznych, według pięknego wyobrażenia Platona, owym woźnicą, któryby wziął w ręce swoje lejce — i kierował, bo sądzimy iż tylko program z góry rozumnie obmyślany, wszelkie możliwości przewidujący, a następnie konsekwentnie przeprowadzony, może zapewnić i utrzymać narodową odrębność w dobrobycie i trwałości.

Ten rozum, wykazując wam bezsensowność wszelkich gwałtownych prób i środków, każe nam także znać, że w państwie konstytucyjnem, takim jak Austria, największą korzyść przyniesie narodowi lojalność, obstawanie przy rządzie i przy dynastyi, która króluje dziś Węgrom, Czechom i Polsce, jak królowała ongi Jagiellońska Węgrom, Czechom i Polsce“.

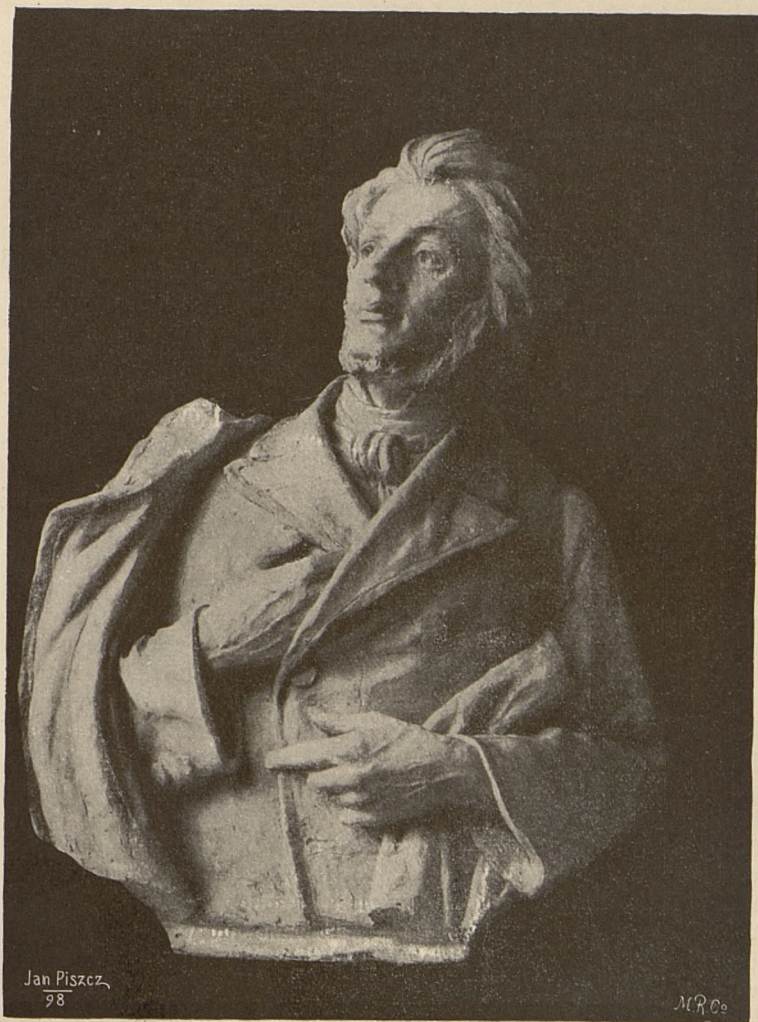
Niespodzianką ani nowością ten program nie jest. Było do przewidzenia, że zasady głoszone tak systematycznie z katedr, w pismach, w dziełach naukowych i pod-

ręcznikach szkolnych, zasady zresztą same przez się sympatyczne, bo nie wymagające nic politycznej inicjatywy od ogółu, a oplacające się jednostkom, które je wyznają — przyjmą się u pewnej części młodzieży. Broszura p. Fuchsa ma znaczenie jako oficjalne stwierdzenie tego, co dotychczas można było konstatować tylko prywatnie. Pierwszy to raz oficjalnie podano nam do wiadomości, że pewien odłam młodzieży odrzucił dotychczasowy ideał polityczny młodzieży polskiej i stworzył sobie nowy. Dotychczas najwyższym ideałem politycznym młodzieży polskiej wszystkich odcieni i przekonań była Polska wolna i niepodległa. Bez względu na różnice w wyborze środków, które miały doprowadzić do celu, podstawa programu politycznego była jedna: uznając równe prawa wszystkich narodowości do wszechstronnego rozwoju sił swoich na podstawie właściwych im czynników socjologicznych, jak: terytorjum, gospodarka, język, tradycje, wierzenia, zwyczaje, mieliśmy dążyć do zniesienia wszystkich kategorii podległości w naszym własnym kraju, w Polsce etnograficznej, z którą wiążą nas nasze sympaty i interesy. W wyborze środków program nasz po r. 1863 różnił się zasadniczo od programów powstańczych. Uznawał on również w obecnych warunkach bytu narodowości polskiej „bezsensowność wszelkich gwałtownych prób i środków“, bezsensowność dążenia do odbudowania ojczyzny przez wypadki wojenne i kombinacje gabinetowe, lub co gorsza, do odzyskania przywilejów i swobody tylko tych klas, które ją miały i utraciły, jak to było widoczne z uchwały sejmu rewolucyjnego z r. 1830, który odrzucił wniosek zniesienia pańszczyzny, postawiony przez Szaniawskiego i Biernackiego. Program ten kazał nam oprzeć nadzieje na tej ogromnej masie naszego ludu, której siły dotychczas lekceważono; kazał przedewszystkiem młodzieży, która mogła zdobyć pewną ilość wiedzy, budzić w tej masie poczucie narodowe, oświeślać ją wynikami nauki, i dopiero uświadomionej udowodnić na drodze czysto rozumowej, jak sobie tego życzy p. Fuchs, ile nasz naród traci ekonomicznie i kulturalnie wskutek swego położenia politycznego, i tem pchnąć ją do zdobycia własną siłą pełni swych praw politycznych. Program jasno określał cel i środki: do wolnej i niepodległej ojczyzny przez oświatę ludu. W stosunku do trzech rządów, trzech dynastji i prawnej formy bytu trzech państw, w skład których wchodzimy, program ten nakazywał nam opozycję jawną i stanowczą w granicach praw istniejących w tych państwach, opozycję, która nie zrzekałaby się żadnego z naszych zasadniczych postulatów narodowych dla ustępstw dokonanych lub spodziewanych.

(D. n.).

W. Rogosz.





JAN PIŚCZ:  
ADAM MICKIEWICZ.

## PRZEDMIOT DYNAMIKI SPOŁECZNEJ.

(Ciąg dalszy).

Potrzebom życia społeczeństwa, pozostającego w nieustannych wojnach, lepiej odpowiadała rodzina ojcowska, czyli — jak się wyraża Lelewel — męska, i ze względu na więcej karne wychowanie synów i ze względu na organizację wojskową. I sama rodzina w tym wypadku stawała się trwalszą i przybierała kształt bardziej określony. Z tych powodów musiała rodzina ojcowska wziąć przewagę nad macierzystą. Ludy podbijające niemal wszystkie już ją miały. W Peru Inkasowie mieli rodzinę ojcowską, a lud władany — macierzystą. U włościan w Lotaryngii jeszcze w XV wieku napotykałyśmy ślady tej ostatniej. Joanna d'Arc nazywała się Jeanne la Rommée, a było to nazwisko jej matki. Spostrzeżono, że u ludów polinezyjskich, od czasu ich odkrycia w XVII i XVIII stuleciu, odbywa się przeobrażenie stosunków rodzinnych. I tak Letourneau zaznacza, że na archipelagu Tonga czyli wysp Przyjacielskich rodzina ojcowska zastąpiła macierzystą.

Jakkolwiek mężczyzna i za czasów rodziny macierzystej — można powiedzieć — żył w wielożeństwie, to wszakże nie on nadawał charakter rodzinie, i dopiero kiedy ojcostwo wzięło w niej przewagę, wielożeństwo w wyraźnych ujawniło się kształtach. Mężczyzna, porywając sobie żonę, uważał ją za swoją brankę, za swoją własność. Prawdopodobnie, pierwsze nawet wojny pomiędzy hordami odbywały się przeważnie o kobiety, bo o innego rodzaju łupy w hordach myśliwskich trudno było.

John Lubbock liczne przytacza przykłady, że dzikim uczucie miłości jest prawie nieznanem.<sup>1)</sup> Gdyby jednak co do tego można było mieć pewne wątpliwości, to w każdym razie uczucie to nie przekraczało granic zmysłowego upodobania. Dopiero w miarę rozwoju uczuć i umysłowości, oraz skutkiem nawyknienia, wytwarzały się tkliwość i przywiązanie pomiędzy mężczyzną i kobietą przy dłuższem ich z sobą życiu. Rodzina ojcowska czyniła to życie trwalszem i z tego powodu więcej od macierzystej sprzyjała rozwojowi uczucia miłości małżeńskiej. To samo można powiedzieć o jednożeństwie w stosunku do wielożeństwa. Nadto monogamia odpowiadała bardziej wzrastającemu w kobiecie poczuciu godności ludzkiej, które domagało się od męża nietylko wspólności łoża i stołu, ale także wspólności moralnego i umysłowego życia.

Kreślę w najogólniejszych rysach rozwój kształtów ustroju rodzinnego, nie wyszczególniałem wpływów geologiczno-biologicznych, ekonomicznych, umysłowych, (w tej liczbie religijnych) i politycznych, z których jedno lub drugie w pewnych warunkach dochodzą do bardzo

<sup>1)</sup> Początki cywilizacji ludzkiej, polski przekład, str. 70—73. I.



ważnego a nawet przeważnego znaczenia. Różnice fizyologiczne różnych grup Aricznych są prawie wcale dotąd nieznanne, a bez dokładniejszej owoych znajomości, o wpływie klimatu i rasowości na przebieg kształtowania się ustroju rodzinnego trudno coś stanowczego powiedzieć. Można wszelako przypuszczać, że większa łatwość zachowywania wstrzemięźliwości płciowej w klimacie umiarkowanym, aniżeli gorącym, sprzyjała wzmocnieniu się i utrwaleniu monogamii. Większa lub mniejsza obfitość żywości, łatwiejsze lub trudniejsze sposoby nabywania onej, przeważający rodzaj zajęcia (łowiectwo, pasterstwo, rolnictwo, przemysł) oddziałują także niewątpliwie. I tak zdaniem niektórych podróżopisarzy — miejscowe warunki ekonomiczne przyczyniają się wiele do utrzymania polyandryi w Tybecie. Jak ważnym jest wpływ religii, wiemy z dziejów szerzenia się wiary chrześcijańskiej, nakazującej jednożeństwo; przed kilkudziesięciu laty widzieliśmy znowu, jak podboje El-Hadżego w Afryce, szerząc mahometanizm, niweczyły w Sudanie dawny układ stosunków pomiędzy kobietą i mężczyzną. Wpływy polityczne mają także nie małe znaczenie. Despotyzm panujący i republikański ustrój nadają i stosunkom rodzinnym odpowiedni charakter. Historia prawodawstwa rodzinnego w Europie wskazuje nam również, że zasada nierówności, silnie panująca w rodzinach feudalnych, wraz z szerzeniem się demokracji ustępuje przed zasadą równości.

Historia rozwoju organizacji domowej, domu, nie stanowiła dotąd osobnego przedmiotu badania, gdyż zwykle utożsamiano ją z ustrojem rodzinnym. Ponieważ nadaje ona pewną właściwą cechę i samym budowlom mieszkalnym, jak np. meksykańskim przeblom, papuańskim „gołębnikom“, komunalnym domom na Wyspach Wielkanocnych i t. d. przeto dla badania w tym kierunku zyskujemy ważny środek pomocniczy w tej części opisowej budownictwa, któryby można nazwać etnologiczną i historyczną, a która odtwarza kształty zabudowań u rozmaitych ludów i w rozmaitych epokach dzisiejszych. Opis pałacu starego króla Priama w Ilijadzie Homera przypomina Pöhlmanowi zadrugę słowiańską, a Krzywickiemu nasuwał ją na myśl wawula na archipelagu fidryjskim\*.

Rodzina i dom stanowią punkt wyjścia rozwoju życia społecznego z każdej jego strony, tak ekonomicznej, jak moralnej, umysłowej i politycznej. Można to widzieć nawet w społeczeństwach, znajdujących się już na wyższych szczeblach rozwoju. Warsztat rzemieślniczy bywa jeszcze dotąd własnością rodziny; uczniowie (terminatorowie), a tu i ówdzie nawet czeladnicy, wchodzą do składu jej domowego. Brentano wykazał, że wszystkie gildy kształciły się podług wzoru rodzinnego. Nauczanie, zarówno moralnie jak umysłowo, rozpoczyna się w domu wśród rodziny.

\* Str. 88. Ludy — zarys Antropologii etnicznej. Warszawa, 1893.

Zawiązków ustroju politycznego jak przewodnik w hordzie, kierownik w życiu i pracach całego domu, homerowski król (βαδ-Αγοσ), przewodniczący z berłem w ręku i z wyrazem poważnej uciechy na twarzy zbiorowi obfitego plonu z własnej niwy\*.

Krzyżowanie się grup etnicznych rozpoczęło się w najodleglejszych czasach istnienia rodzaju ludzkiego, i antropologowie znajdują pomieszenie rasowe nawet u ludów na najniższych szczeblach rozwojowych. Bądź co bądź jednak, bez względu na to, czy przyjmujemy hipotezę jedno- lub wielopochodności, musiała istnieć pewna i dość długa epoka, podczas której rozrost ludzkości odbywał się w obrębie tego samego szczepu. A i później, kiedy krzyżowanie się rasowe zaczęło wnosić domieszkę obcej krwi, rozwój przez długi czas nie wychodził z granic, nakreślonych przez samo pokrewieństwo. Rodowy byt panuje jeszcze dotąd u ogromnej większości ludów, a w historii narodów wypełnia on ich lata dzieciinne i młodzieńcze. Można powiedzieć, że w rodowym hycie łączenie się i krzyżowanie się jest tylko biologiczne — pomiędzy jednostkami; społeczne zaś łączenie się różnoplemiennych części w jedną całość i krzyżowanie się onych, objawiające się, skutkiem podziału pracy, we wzajemnem mieszanii się ich z sobą, jest już właściwością rozwoju zarodowego.

Rozwój form rodowych jest mało zbadany, i dla tego trudniej jest przedstawić ważniejsze onego szczeble. Morgan trafnie wskazał na dwa najważniejsze: bractwo i plemię. Bractwo, grecka fratria, rzymska kurya, przedstawia się jako dobrowolne połączenie się, stowarzyszenie pewnej liczby domów czyli familij, na podstawie wzajemnej ugody, „dla pewnych celów religijnych i społecznych“ — jak powiada Morgan. Kult religijny — jak się zdaje — był początkowo najsilniejszym bodźcem do łączenia się. Znoszono swoich bożków (fetyszów) do jednego miejsca i oddawano im wspólną cześć. Tak się działo u ludów amerykańskich, np. Zuniów. Kurya rzymska miała własny kult religijny. Arystoteles (Konstytucya ateńska, rozdz. 21) obok partyj wymienia stowarzyszenie ofiarnicze (εὐρδύρασ).

Bolesław Limanowski.

---

\* Ilijada, XVIII, w. 556.

## Z ŻYCIA AKADEMICKIEGO.

W skład redakcji lwowskiej „Młodości“ wchodzi koledy: Maryan Borowski, Antoni Müller, Ostap-Ortwin, Leopold Staff.

### »Czytelnia akademicka« we Lwowie.

Sprawozdanie lwowskiej »Czytelnia akademickiej« za rok administracyjny 1897/8 (15 października 1897 — 15 października 1898) daje nam sposobność wyrażenia naszej sympaty i uznania dla działalności tego towarzystwa. Z galicyjskich towarzystw akademickich dotychczas tylko lwowska Czytelnia zasługuje na nazwę prawdziwie »ogólno-akademickiej«, gdyż dotychczas tylko ona jedna potrafiła skupić w sobie wszystkie odłamy młodzieży. Z programem politycznym jasnym i zdecydowanym, opartym na gruncie narodowo-demokratycznym, występując na zewnątrz śmiało i energicznie w każdej sprawie, która obchodzi ogół młodzieży, jak świadczyła o tem akcja, podjęta przez nią na rzecz prof. Nussbauma i Dybowskiego — potrafiła »Czytelnia« utrwalić sobie byt, nie wegetować i rozwija się pod każdym względem pomyślnie. W roku 1897/8 należało do »Czytelnia« 279 członków. Z tablicy statystycznej, umieszczonej na wstępie sprawozdania możemy wytworzyć sobie obraz ruchu umysłowego w Kółkach naukowych »Czytelnia« w dziesięcioleciu 1888 — 1898. Podczas gdy w r. 1888/9 wszystkich posiedzeń było 70, a w r. 1891/2 — 26, wzrasta ta liczba w każdym następnym roku, w r. 1896/7 dochodzi do 175, a w r. 1897/8 do 168. Tak samo z ilością odczytanych prac. W r. 1888/9 było ich 71, w następnym latach konstatujemy stopniowy upadek aż do roku 1891/2, w którym dano prac ogółem 39, potem rozpoczyna się stopniowy wzrost aż do r. 1896/7, w którym odczytano prac 225, a w r. 1897/8 — 191. Tablica opatrzona jest uwagą, że powyższym wykazem objęto tylko

prace odczytane, nie uwzględniając pogadanek. »Kółek« jest 12: filozoficzne (w r. 1897/8 — posiedzeń 32, odczytów 26); literackie (pos. 21 — odcz. 24; do konkursu na wiersz i nowelę nadesłano 34 wierszy i 11 nowel); prawniczo-ekonomiczne (pos. 20 — odcz. 22); historyczne (pos. 17 — odcz. 15); filologiczne (pos. 16 — odcz. 12); przyrodników (odcz. 14); germanistów (odcz. 7); słowiańskie (pos. 11 — odcz. 12); muzyczno-deklamatorskie (pos. 10 — odcz. 5); stenografów (odcz. 4); nadto kółko szermierzy. Biblioteka Czytelnia zawiera 10.426 dzieł. Przychód na r. 1897/8 — 4.267 zlr. 61½ ct.; rozchód 3.651 zlr. 32½ ct. Pozostałość wynosi 616 zlr. 19 ct.

### »Teka« i »Promień«.

Tytuły dwóch pism poświęconych sprawom młodzieży szkół średnich, a wydawanych przez lwowską młodzież uniwersytecką. Pisma te wytknęły sobie jeden i ten sam cel: dążyć do wzbudzenia wśród młodzieży gimnazjalnej ruchu umysłowego, zapełnić luki pozostawione w wykształceniu młodzieży przez gimnazjum i wpajać w dorastające pokolenie, to czego mu brak, idealizm i wiarę w siebie i przyszłość.

Szkoda, że siły przez wydawanie równoczesne dwóch czasopism rozdrabniają się niepotrzebnie; »Roboty dla obu pism nie zabraknie!« — pisze »Teka«; roboty nie — to prawda — aby tylko nie zabrakło pracujących.

Jak z pierwszych numerów sądzić można »Promień« jest w wypowiedaniu swoich zapatrywań śmielszy, otwartzszy, (po galicyjsku: radykalniejszy).

»Promień« w artykule wstępnym stawia sobie za zadanie: »usunąć kwarantannę myśli«, »podsycać uczucia narodowe, potępiając szowinizm«, i »pielegnować uczucia społeczne«.

Z artykułów na wyróżnienie zasługują:

»O potrzebie organizowania się młodzieży«; piękny swą naiwnością, siłą i pewnością w siebie wiersz K. Ikceldaisa: »Do młodego poety« i praca p. t. »Ze spraw szkolnych«. Autor zastanawia się nad materiałem nauczycielskim i dowodzi szkodliwości systemu biurokratycznego, który niszczy charakter profesorów i przetapia najoporniejsze nawet jednostki na karyerowiczów, urzędników, automatów, kierowanych ręką zwierzchniej władzy.

W »Tece« obok programowego artykułu »Czasopisma młodzieży«, znajdujemy list T. T. Jeża, w którym autor rozwija zdanie, że młodzież ma nie tylko prawo, ale i potrzebę i obowiązek wypowiadania swych poglądów; »Rok 1863«, artykuł o »Mowie dzikich plemion, a gwarze dzieci«, dwa wiersze, nowela i kronika dopełniają treści numeru.

Wydawnictwo tych pism i przyjsie do skutku »Uniwersytetu ludowego« dzięki inicjatywie akademików lwowskich świadczy o wielkiej dojrzałości społecznej młodzieży. Pisma dla gimnazystów przez młodzież uniwersytecką wydawane — to unikat w Europie; w społeczeństwach o wyższej cywilizacji są one zbyteczne; władza ustawodawcza idzie szybciej za rozwojem stosunków i młodzież znajduje wiele innych sposobności i pobudek do kształcenia się. U nas pisma tego rodzaju w życiu młodzieży, szczególnie prowincjonalnej mogą mieć nieobliczalne znaczenie, jeżeli w odpowiedni sposób redagowane będą. W przyszłym numerze »Młodości« szerzej się nad tą kwestyją zastanowię.

— *er.*

### »Chłopska polityka«.

Na przedstawieniu »Chłopskiej polityki« w teatrze krakowskim aresztowano z powodu »demonstracji« 5 kolegów i zasądzono dwóch na 5 dni, trzech na 3 dni aresztu. Dokładny opis zdarzenia znajduje się w »Naprzodzie« (numer z 3 marca). Spodziewamy się, że namiestnictwo zniesie wyrok lub zamieni

karę aresztu na pieniężną, bo taką w państwach cywilizowanych za »przestępstwa« tego rodzaju się wymierza.

### Ruch w krak. tow. akad. w lutym.

W »Czytelnicy akad.« odczyt kol. Czaplickiego »O poglądach Schopenhauera na miłość«, dyskusja nad uniwersytetem ludowym, zagajona przez kol. Müllera, referat kol. Zauchy i pogadanka nad broszurą Fuchsa »Młodzież polska o sobie«, odczyt kol. Tuszyńskiego o »teoriach powstania snu«.

W »Zjednoczeniu« odczytał kol. Kisielewski V. akt swego dramatu »W sieci«; odbył się wieczorek inauguracyjny; odczyty: kol. Gruszeńskiego »O materializmie wobec dzisiejszych wyników nauki«, »O teorii Malthusa« — kol. Macheles. W Kółku ekonomicznym czytanie »Kapitału« Marxa. Z początkiem miesiąca urządziło »Zjednoczenie« *Journal parlé* w sali rady miejskiej.

W »Kółku literackim« kol. Pusłowski odczytał swój poemat p. t. »Barweny«; kol. Lisowski dwa odczyty p. t. »Hrabia Cavour« i »Władysław Opolczyk«.

### Odpowiedzi od redakcyi.

**Ed. Leszcz, Esdros, Nesieref, K. Ob.:**  
Drukować nie możemy.

**G. E. M.** Druga część wiersza słaba.

**Zgett — D.** Umieścilibyśmy chętnie — lecz z większym skutkiem dla poruszonej kwestyi połączone będzie wydrukowanie artykułu w »Tece« lub »Promieniu«.

**D. M.** Sprawa dobrze już znana i była przedmiotem podobnych referatów na wiecach w Krakowie i we Lwowie. Dziękujemy.

**A. L.** Zurych. Prosimy o przysłanie.

**Numer czwarty** wychodzi powiększony o trzecią część zwykłej objętości. Począwszy od tego numeru rozszerzamy również znacznie szerokość kolumn dla zwiększenia treści.

**Pomyłka drukarska.** Adres redakcyi lwowskiej nie Łyczakowska 21 — lecz Zamojskiego 8.

Redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Meus.** — Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

# „Młodość“

jako jedyne pismo młodzieży polskiej, ma obowiązek odzwierciedlać w sobie ruch młodzieży z pod zaborów i łączyć z krajem ojczystym ogniska młodzieży, studyjacej za granicą.

Na wewnątrz zaś, przez bezstronne krytyczno-naukowe rozbiekanie kwestyj młodzież zajmujących i przez umieszczenie głosów wszystkich partyj, starać się będzie łagodzić rozdział wśród niej istniejący. Redakcja zaś stojąc na stanowisku zupełnie bezstronnem, powstrzyma się od zaznaczania przy każdym artykule, umieszczonym w „Młodości“, czy zgadza się z nim rzeczowo, czy nie.

Główne te nasze zadania wypełnić możemy tylko przy gorącym i stałym poparciu wszystkich akademików. Do kolegów z prowincyi i zagranicy udajemy się z prośbą o przysyłanie korespondencyi z życia młodzieży polskiej. Przez utworzenie filii redakcyjnej we Lwowie położyliśmy silniejszy fundament pod pismo nasze i prosimy kolegów ze wschodniej Galicyi, aby z wszelkimi pytaniami i artykułami do niej się zwracali.

Każdy akademik uważać się powinien za współpracownika naszego pisma, a słuszne rady i wskazówki uwzględnić będziemy z wdzięcznością.



Prenumeratorem, których abonament z tym numerem się zakończył, prosimy o szybkie odnowienie przedpłaty w celu uregulowania nakładu.



III I ROK III ZESZYĆ TU III

Cena zeszytu 35